MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 35. WARSZAWA, 14 SIERPNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

W ROCZNICĘ BITWY POD WARSZAWĄ

ZEBRALIŚMY się tu dziś[1]) dla uczczenia wielkiej rocznicy narodowej. Zebraliśmy się nie na jakiś nakaz z góry, ale powodowani własnym, żywiołowym popędem. Energja oficjalna wyczerpała się w tym roku na 19 marca, półoficjalna na 10 sierpnia. Na 15 sierpnia jej nie stało.

Lecz tak i lepiej. Obchody, urządzane pod kierownictwem, czy przy wybitnym współudziale czynników państwowych bywają bardziej uporządkowane i efektowniejsze. Nam jednak nie idzie o efekt zewnętrzny. Gdyby celem było jedynie oddziałać na wzrok i słuch uczestnika i widza, nie wiem, czy wartoby urządzać obchody. Dla mnie rocznica narodowa, czczona zbiorowo, jest potężnem zjednoczeniem się większej ilości ludzi w celu, dającym się określić, jako ślub teraźniejszości z przeszłością i przyszłością. W jednej myśli i jednym nastroju tak zagłębić się w wypadek historyczny, aby odczuć go jako coś, co nie umarło, ale po dziś dzień żyje i żyć będzie jutro, za rok, za lat sto i za lat pięćset — to rzecz, dająca się osiągnąć jedynie żywiołowym, zbiorowym popędem. I wierzę, że was tu wszystkich sprowadził taki popęd.

Aby zaś jakikolwiek akt, wykonywany przez człowieka, był pełnym i normalnym, konieczny jest udział trzech władz duszy — myśli, uczucia i woli. Pragnąc, aby obchód dzisiejszy stanowił właśnie taki akt pełny i normalny, spróbuję ustalić kolejno stosunek naszej myśli, uczucia i woli do zaszłego, lat temu dziesięć, wielkiego wypadku dziejowego, który nazwaliśmy Cudem Wisły. Przekonamy się przy tej sposobności, że o ileby któryś z trzech niezbędnych pierwiastków był reprezentowany za słabo lub wogóle go zbrakło, o ileby któryś rozrósł się zbytnio i zepchnął na drugi plan tamte, cały nasz wysiłek byłby chybiony. Tylko zgodne współdziałanie władz duszy, tylko ich wspólne wytężenie się w jednym celu, daje pełnię duchowego przeżycia, po którem zostaje coś trwałego, mogącego odegrać rolę w przyszłości.

Rozpatrywane jedynie przez pryzmat myśli, wypadki roku 1920 dałyby może tyleż powodów do smutku i wstydu, ile do radości i dumy. Sama bowiem myśl, nie wsparta innemi władzami duszy, mówi nam dwie rzeczy: po pierwsze lepiejby było, gdyby Cud Wisły wogóle nie był potrzebny; po drugie konieczność jego stworzyły dwa wielkie błędy, polityczny i strategiczny.

Wojna z bolszewikami była nieunikniona. Traktat wersalski nie ustalił naszych granic wschodnich, musieliśmy je sobie wyrąbać szablą. Nie obniżając bynajmniej zasług naszej armji, musimy jednak powiedzieć, że zadanie nie było zbyt trudne. Olbrzymia Rosja, pozbawiona gęstszej sieci kolejowej, wyczerpana wojną światową i rewolucją, organizowała się dopiero i wprowadzała ustrój sowiecki, wojując równocześnie na kilku frontach. Raz po raz wyzywały ją do boju różne „białe“ formacje, osiągając często duże sukcesy i grożąc przywróceniem samodzierżawia, czy republiki konstytucyjnej w zachodnim stylu. Dla czerwonych władców oznaczałoby to bezwzględną katastrofę, nastąpiłby krwawy odwet za mord rodziny carskiej, za rzezie oficerów w Kijowie, Odesie i tysiącznych innych miejscowościach, za gwałty przewrotu i okrucieństwa czerezwyczajek. Czem wobec takiego stanu rzeczy była dla bolszewików kwestja granic zachodnich? Niezmierzone obszary Rosji mogły obejść się łatwo bez paru tysięcy kilometrów kwadratowych. Ale walka z białymi była prawdziwą walką o byt. Koalicja, straciwszy w wojnie światowej miljony ludzi, popierała ruchy antybolszewickie je-

[1]) Przemówienie, wygłoszone 15 sierpnia 1930 na uroczystym obchodzie w Stryju. Ogłaszając je obecnie drukiem, nie zmieniam nic, pozostawiając także aluzje do wypadków r. 1930. Ich nieaktualność jest pozorna, ponieważ dążenia i koncepcje polityczne, które stanowiły ich podłoże, istnieją nadal — czasem przybierając jaskrawsze formy, czasem chwilowo przytłumione tokiem wypadków, ale w swej istocie identyczne. (W. T.)

dynie materjałem wojennym, przysyłaniem instruktorów i pieniędzmi. Była to jednak pomoc wydatna. Judenicz, Kołczak, Denikin i Wragel podnosili kolejno broń przeciw sowietom. Nadto zaprzątał bolszewików szereg zawikłań azjatyckich — a wynik wojny światowej okazał jasno, że Rosja na długie lata nie ma czego szukać w Europie, że jej przyszłość leży na lądzie azjatyckim.

Z tych powodów bolszewicy nie wysilali się zbytnio na froncie zachodnim — zwłaszcza po stłumieniu ruchawek komunistycznych w Berlinie i w Monachjum oraz po zlikwidowaniu rządów Beli Kuhna na Węgrzech, gdyż wypadki te odsunęły dla nich nadzieję zrewolucjonizowania Europy środkowej w krainę niedosiężnych marzeń. To też pod koniec r. 1919 wojska nasze zajmowały mniej więcej t. zw. linję Dmowskiego, ciągnącą się przeważnie daleko na wschód od naszej dzisiejszej granicy. Bolszewickie propozycje pokojowe były szczere.

Przed polskiem dowództwem naczelnem stały dwie alternatywy, związane z ofensywą Wrangla. Można ją było wyzyskać albo dla osiągnięcia jaknajlepszych warunków pokojowych, albo dla zadania natychmiast decydującego ciosu. Druga ewentualność byłaby oznaczała poparcie ruchu białych, a oddanie w ich ręce Rosji nie było zapewne z punktu widzenia Polski pożądane. Na czele wojsk antybolszewickich stali starzy carscy generałowie i dyplomaci, którzy, jak niegdyś Burboni, niczego nie nauczyli się i niczego nie zapomnieli. Można było obawiać się, że ich zwycięstwo stworzy nam nowe trudności i nowe niebezpieczeństwa. Ale też trudno nie widzieć, że zniszczenie bolszewizmu miałoby dla nas i poważne korzyści, zabezpieczając nas samych przed nim, otwierając nowe możliwości handlowe i uwalniając nas drogą emigracji od różnych szkodliwych żywiołów. Nawet więc dopomożenie białym do zupełnego zwycięstwa stanowiłoby było lepsze rozwiązanie sprawy od ewentualności trzeciej, którą u nas wybrano, wybierając, zamiast pokoju faktyczne zawieszenie broni, pozwalając bolszewikom rozprawić się swobodnie z Wranglem i odkładając rozstrzygnięcie wojny do wiosny i lata r. 1920. Nowe rokowania nie doszły wcale do skutku — rozbiły się o miejsce konferencji...

O cóż szło naczelnemu wodzowi i naczelnikowi państwa? Przeceniając siły militarne Polski, postanowił prowadzić wojnę aż do zniszczenia Rosji przez wydarcie jej ziem południowo-wschodnich i stworzenie niepodległej Ukrainy, którąby ewentualnie weszła z nami w federację. Był to pomysł z gruntu błędny. Ukraina—to koncepcja niemiecka, wymierzona wyraźnie przeciw Polsce. Na terenie krajów południowo-rosyjskich, które miałyby do niej należeć, świadomość narodowa wśród Małorusinów nie jest dziś, a w żadnym razie nie była w r. 1920 tak rozwinięta, by dawała podstawę podobnemu planowi. Natomiast dzięki długim latom wrogiej nam propagandy, prowadzonej za marki pruskie, jest silna na terenie Małopolski wschodniej, gdzie ruch ukraiński przybrał charakter dla nas niebezpieczny — niema potrzeby nad tem rozwodzić się teraz, gdy każdy numer gazety przynosi wiadomości o zbrodniczą ręką wzniecanych pożarach naszych dworów, stert, chat, czy folwarków[2]). W tych warunkach tworzenie Ukrainy oznaczało w praktyce kucie miecza na nasze karki, na karki Polaków z południowego wschodu.

Było jednak również nierealne, jak zgubne. Rosja mogła przeboleć stratę Mińska, Kamieńca, Starokonstantynowa, Płoskirowa — miejscowości, które po Cudzie Wisły zostały przy bolszewikach, ale wówczas były w naszych rękach. Lecz nie mogła żadną miarą oddać swego śpichlerza, pozwolić się na południu odciąć od morza, zagrozić swemu połączeniu z Kaukazem, może zupełnie je zniszczyć. Państwo, powstałe na tem terytorjum, byłoby dla niej czemś gorszem, niż dla nas Prusy Wschodnie, byłoby klinem, wbitym w jej żywe ciało. To też Rosja sowiecka wyzyskała sytuację, głosząc hasło obrony zagrożonego bytu, i zdołała uczynić wojnę popularną. Pośpieszyły w szeregi zastępy oficerów carskich, pogodzonych w imię patrjotyzmu z władzą bolszewicką. Tym sposobem plan tworzenia Ukrainy przyczynił się do umocnienia jedności rosyjskiej.

Działania wojenne poprzedził układ z Petlurą, który jeszcze na rok przedtem wojował z nami o „ukraiński" Lwów. Pertraktacje te toczyły się poza plecami większości rządu i sejmowej komisji spraw zagranicznych. Wtajemniczony był premjer Skulski, który dał się pozyskać w prywatnych rozmowach naczelnikowi państwa. Dowiedziawszy się o rokowaniach, prof. Stanisław Grabski, prezes komisji spraw zagranicznych, próbował perswazji i skupił przy sobie przywódców stronnictw, niechętnych ryzykownym pociągnięciom. Atoli osobiste wpływy naczelnika państwa okazały się silniejszemi. Głosząca ideje pacyfistyczne Polska Partja Socjalistyczna zmieniła szybko stanowisko. Posłowie chłopscy przeważnie nie orjentowali się w sytuacji wewnętrznej i strategicznej. Widząc, że zdania swego nie obroni, prof. Grabski złożył przewodnictwo komisji, która teraz wszystkiemi głosami przeciw głosom narodowych demokratów zatwierdziła zawarty układ t. j. dała naczelnemu wodzowi wolną rękę. Stało się to bez dokładniejszego omówienia sytuacji, bez rozważenia szans i możliwych skutków. Gdy prof. Grabski chciał wszcząć dyskusję na ten temat, premjer Skulski przerwał mu, zarzucając zdradę tajemnic wojskowych i grożąc sądem.

Polska puszczała się więc na ryzykowne przedsięwzięcie na wschodzie, jakgdyby na zachodzie nie rozstrzygał się szereg kwestyj niesłychanie doniosłych dla jej przyszłości — plebiscyt na Mazurach, podział Śląska Cieszyńskiego, ustalenie praw portowych w Gdańsku...

Ale dość o politycznem obliczu sprawy. Przypuśćmy, że tu wszystko było w porządku. Jak wyglądało przedsięwzięcie pod względem strategicznym?

Wojsko niewątpliwie mieliśmy lepsze i, choć nie idealnie, lecz znacznie lepiej zaopatrzone, niż nieprzyjaciel. Natomiast było ono liczebnie słabsze o jedną trzecią, a jego rozciągnięcie na tysiąckilometrowym froncie groziło nieprzewidzianemi— a raczej dobrze dającemi się przewidzieć następstwami w razie skupienia w którymś punkcie większych sił do ofensywy. To też marszałek Foch, największy wódz naszych czasów, kilkakrotnie, ostrzegał przed tem. Lecz pominiemy i to. Postanowiono działać zaczepnie. W takim razie uderzenie powinno było nastąpić na froncie północnym, tam bowiem skupiły się groźne siły rosyjskie, gotowe do pochodu starym szlakiem wojskowym, którym Moskale zwykle zbliżali się do Warszawy (np. w r. 1831). Jeżeliśmy już mieli zdo-

[2]) Akcja sabotażowa r. 1930 (sierpień, wrzesień).

bywać Kijów, to był on do zdobycia tylko tam, na północy, przez zniszczenie głównych sił nieprzyjacielskich. Tymczasem front ten osłabiono, mimo rozpaczliwych przedstawień jego dowódzcy jen. Szeptyckiego. Było to typowe prowadzenie polityki zamiast wojny.

W Kijowie, zajętym prawie bez boju, wpadliśmy w pułapkę. Runął nasz front północny, klęska tam poniesiona oddziałała natychmiast na wypadki na południu. Gdy wódz naczelny przybywał do Warszawy jako trjumfator i zdobywca Kijowa, utrzymanie zdobyczy było już rzeczą niemożliwą. Cofnięto się z niego o trzy dni za późno, ponosząc przez to olbrzymie straty, szczególnie w materjale wojennym. Przez luki naszego frontu przedostały się masy kawalerji bolszewickiej, sprowadzonej tu po pobiciu Wrangla. Rozpoczął się odwrót, wszelkie próby zajęcia jakiejś nowej linji obronnej okazywały się przez sześć tygodni daremnemi. Oddziały straciły łączność z sobą, ich siła liczebna stopniała do *minimum*. Ludność ukraińska zachowywała się wrogo. Nieprzyjaciel następował na pięty. Polskie działa zwracały się przeciw Polakom. Nad świetnym żołnierzem, który niedawno znał jedynie pochód naprzód, zaciężyło poczucie klęski, odebrało mu wiarę w siebie. Odwrót przemieniał się w bezładną ucieczkę.

A od wschodu i od północy szła na Warszawę, na serce Polski, zwycięska armja Tuchaczewskiego, Budzienny hulał coraz bliżej Lwowa. Bolszewicy mieli już przygotowany dla nas personalny skład rządu i administracji, mieli ułożone czarne listy dla czerezwyczajki. Wygłodniały, obdarty żołdak rosyjski cieszył się na myśl o tem, jak zabawi się w Warszawie. Komisarze Z.S.S.R. widzieli w najbliższej przyszłości sztandar z gwiazdą bolszewicką, powiewający nad zamkiem naszych królów. Kościoły miały przemienić się w miejsca wieców i rozpustnych hulanek. Kultura, gromadzona przez długie wieki, miała być rozgrabiona i zniszczona...

Ciemne tłumy wschodniego, po rosyjsku mówiącego żydostwa witały bolszewików, jak wybawicieli, — aby po paru dniach przekonać się na własnej skórze, że krwawej samowoli mużyka nie poskromi sam Trockij. Ale był ktoś, kto doznawał większej jeszcze może radości: Zacierali ręce Niemcy, sądząc, że już nadeszła chwila naszej zagłady, że Pomorze, nasza część Śląska, Poznańskie spadną wnet Germanji same, jak dojrzałe owoce, w nastawiony fartuszek. Było w planie najeźdźcy dopomóc naszemu drugiemu wrogowi — front bolszewicki niedwuznacznie wydłużył się aż po Działdowo. Rozkosznem oczekiwaniem biły serca junkrów, a we Wrocławiu sprzedawano już nadzwyczajne dodatki z napisami „*Warschau gefallen*“. Ta wiadomość zrodziła się z gorącego pragnienia i z modlitwy do „niemieckiego Boga“.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW TARNAWSKI

CZARNY DYKTATOR

Pour le pays, pour les ancétres
Marchons unis, marchons unis.
Dans nos rangs points de traîtres
Du sol soyous seuls maitres.
Marchons unis, marchons unis,
Pour le pays, pour les ancétres
Pour le pays, pour les ancétres.
Marchons, marchons, marchons unis,
(„*Dessalinienne*“, — haityjski hym narodowy).

WSZECHŚWIAT odbija się w kropli wody. Wydarzenia, rozgrywające się w najbardziej zapadłym zakątku odległej części świata, mogą być pouczające i pełne znaczenia z punktu widzenia dziejów powszechnych.

Republika Haiti jest niewątpliwie mało znaczącą cząsteczką powierzchni naszego globu. Barwne i pełne przemian jej dzieje wewnętrzne mają w sobie istotnie — gdy na nie patrzeć z europejskiego oddalenia — coś z obrazu mieniącej się kropli wody. A jednak ta licząca około 2 miljonów mieszkańców wyspiarska republika murzyńska w Ameryce środkowej, conajmniej pod kilku względami interesować może tych, co zastanawiają się nad dziejami powszechnemi.

Rewolucja na San Domingo, która doprowadziła do ukonstytuowania się tego murzyńskiego państewka, jest pierwszą i jedyną jak dotąd w dziejach świata poważniejszą rewolucją murzyńską, zwróconą przeciw panowaniu białych. Czy przebieg tej rewolucji nie dostarcza materjału do refleksji, — wątku do przewidywań, — co do dyktowanego duchem rasy charakteru i kierunku rewolucyj, które mogą się kiedyś zdarzyć tam, na dwuch zamieszkałych przez odłamy rasy czarnej kontynentach, gdzie napięcie antagonizmów rasowych jest największe, — choćby w Unji Południowo-Afrykańskiej, — czy w południowo-wschodnich stanach Stanów Zjednoczonych A. P. (w Luizjanie i t. p.), — czy na pozostałych Antylach, czy w Gujanie, czy jeszcze gdzie indziej?

Powstanie murzyńskie na San Domingo, na którego tłumieniu połamały sobie zęby wojska napoleońskie, jest pierwszem z cyklu zwycięskich powstań, podjętych przez ludy, burzące się przeciw hegemonji Cesarza Francuzów. Czyż nie stanowi ono ważnego ogniwa w pełnym błyskawic dramacie dziejów napoleońskich?

Santo Domingo, Saint Domingue — Kolumbowa Hispaniola, — pierwszy ląd amerykański, na którym stanęła noga europejskiego odkrywcy, — później perła francuskich kolonij, nieprzebrane źródło bajecznych bogactw kreolskich, kraina ongiś, pod rządami Francji, poprostu złotem płynąca, — była również i dla Napoleona jedną z upatrzonych podstaw jego budującej się potęgi: uważał on ją ponoć za bramę wypadową na kontynent amerykański; w łączności z akcją na San Domingo usadowił się ponownie w poprzednio przez Francję utraconej Luizjanie; marzył jakoby o odzyskaniu z pod angielskiego panowania etnograficznie francuskiej nietylko wówczas lecz i dziś jeszcze, Kanady; nawet myślał podobno o objęciu w Ameryce sukcesji po Portugalji i Hiszpanji, — o staniu się władcą Ameryki łacińskiej. Czyż ziemia, która jako podmiot lub przedmiot brała udział w tylu kolonjalnych sprawach, nie zasługuje na poczesne miejsce w rozważaniach, dotyczących ekspansji zamorskiej Europy?

Nie z tych wszystkich względów wszakże pragnę w tej chwili o Haiti mówić.

Z pośród licznych faktów, które czynią dzieje Haiti interesującemi, pragnąłbym wydobyć fakt następujący: ten bujnie żyjący kraj zdobył się na eksperyment, jakim nie każde państwo może się poszczycić. Na eksperyment zrealizowanych w całej pełni i w całej okazałości — rządów dyktatorskich. Dyktatorem Saint-Domingue był murzyński generał, François Dominique Toussaint-Louverture.

Aby zrozumieć jego rolę dziejową, trzeba najpierw słów parę powiedzieć o kraju, w którym sprawował rządy.

Zachodnie wybrzeże należącej pierwotnie do Hiszpanji wielkiej wyspy antylskiej Hispanioli, którą później zaczęto oznaczać mianem leżącego na niej miasta Santo Domingo, stało się od początku siedemnastego wieku terenem ekspansji francuskiej. Francuscy „flibustjerowie", — korsarze i wszelkiego rodzaju awanturnicy, — utworzyli sobie bazę na wysepce La Tortue, położonej bezpośrednio u brzegów Hispanioli. Rozszerzając stopniowo zasiąg swoich wpływów, opanowali z czasem całą zachodnią część wielkiej, należącej nominalnie do Hiszpanji wyspy. Od nikogo niezależne gniazdo włóczęgów morskich rozrosło się do rozmiarów dużej kolonji, nad którą Francja roztoczyła, uznaną formalnie przez Hiszpanję dopiero w końcu osiemnastego wieku, regularną władzę.

Bogactwo kolonji i liczba jej mieszkańców rosły. Z morskich rabusiów, oraz półdzikich myśliwców zaczęli się ci ostatni zamieniać w plantatorów, uprawiających trzcinę cukrową i inne tropikalne płody.

Rozwój plantacyj wywołał brak rąk roboczych. Zaradzono mu—sprowadzając siłę roboczą w postaci niewolników murzyńskich z Afryki. Ożywiony handel „czarnym towarem" sprawił, że francuska Saint Domingue zaludniła się wkrótce masą niewolnej czarnej ludności, trzymanej w ryzach przez cienką warstw białych plantatorów, kupców i urzędników.

W chwili, gdy wybuchła wielka rewolucja, Saint Domingue (w przeciwieństwie do zaniedbanego hiszpańskiego Santo Domingo, — t. j. wschodniej części wyspy) był krajem ludnym, niezwykle bogatym i wyśmienicie zagospodarowanym. Posiadał wyśmienite drogi, sprawnie funkcjonującą pocztę, dobrze zorganizowaną administrację, — posiadał ludne i porządkujące się miasta, nie pozbawione teatrów, gazet, nawet zawiązków życia umysłowego, — sięgające, jak np. Cap Français (dziś Cap d'Haïti) — liczby 20.000 mieszkańców.

Cała ludność Saint Dominuge składała się wówczas z około pół miljona murzynów (przeważnie niewolników), około 30.000 mulatów (przeważnie wolnych) i około 40.000 białych. Cała ta ludność mówiła po francusku: warstwy oświecone francuszczyzną literacką, — masa ludowa murzyńska tak zwanem „patois créole", — bo niewolnicy murzyńscy, wyrwani ze szczepów afrykańskich, mówiących narzeczami bardzo różnemi, z natury rzeczy skazani byli na porozumiewanie się ze sobą czystą lub łamaną francuszczyzną, to też w drugiem pokoleniu już swych ojczystych języków wogóle nie znali. — Cała ludność Saint Domingue była już kulturalnie jako tako zeuropeizowana i nominalnie, a częściowo nawet i faktycznie katolicka. (Tylko jej część wyznawała potajemnie, a nawet wyznaje po dziś dzień, kult afrykańskiego bożka „Vau doux").

Mimo to, rzecz prosta, ludność ta nawet pozornie nie tworzyła społeczeństwa o harmonijnych i utrwalonych stosunkach. Masa murzyńska, brutalnie ciemiężona, a będąca w przygniatającej przewadze, burzyła się nieustannie, — wszczynając co chwila lokalne bunty, lub też tworząc po górach i lasach stałe, potężne bandy trudniących się rozbojem zbiegów. Oświecona i zamożna kasta mieszańców (około 2.000 plantacyj było własnością mulatów!), — odnosząca się z pogardą do murzynów, lecz pogardzana przez białych i pozbawiona przez nich wszelkich praw politycznych i towarzyskich, — marzyła o przewrocie politycznym, któryby ją wydźwignął na wierzch i przez swych przedstawicieli, studjących lub stale osiadłych w Paryżu, spiskowała z kołami rewolucyjnemi we Francji. Biali — zagrożeni przez kolorowych — trzymali władzę terrorem, denerwując się i przesadzając w represjach. I oni zresztą byli niezadowoleni: burzyli się przeciw uciskowi fiskalnemu i celnemu ze strony Macierzy i zazdrosnem okiem spoglądali na świeżo wyzwolone Stany Zjednoczone.

To też wybuch rewolucji francuskiej był dla Saint Domingue iskrą, rzuconą na beczkę prochu. Władza królewska, którą biali kreole pierwsi zaczęli podważać, rozprzęgła się szybko. Zaczęły się rozruchy i wojny domowe. Potężna partja mulacka podniosła szybko głowę, — a z czasem zorganizowała na południu kraju własne państewko, rządzone przez generała-mulata Rigaud, w którem mulaci stali się arystokracją, a które dopiero Toussaint-Louverture zlikwidował. Wreszcie — wybuchła na wsi rebelja czarnych niewolników. Spłonęły plantacje i dwory kreolskie, — polała się krew rodzin plantatorów. Pożar rebelji ogarnął wielkie połacie kraju, — dawne bandy zbójeckie z gór stały się na nich ośrodkami krystalizacyjnemi większych, zbrojnych kup rewolucyjnych. Pojawili się wybitniejsi przywódcy, — w rodzaju galicyjskiego Szeli, — którzy postroili się w fantastyczne mundury i poprzybierali szumne tytuły. Będąca z Francją w wojnie Hiszpanja wzięła ich pod swoją opiekę, — zaopatrzyła w broń, — przyznała im rangi wojskowe. Anarchja, panująca w kraju, sprawiła, że zbrojnych oddziałów murzyńskich nie miał kto zlikwidować, — to też rosły one w siłę i konsolidowały się wewnętrznie. Jednym z dowódców tych oddziałów — był przyszły dyktator.

Jakie były jego dzieje — zaraz powiemy. Ale uprzedzając wypadki, opowiemy najpierw (by módz później wyłącznie na osobie dyktatora uwagę skupić), — co się w Saint Domingue stało potem.

Pod wodzą czarnego generała Dessalines'a, wywalczyli sobie murzyni ostatecznie niezależność, — bijąc wojska napoleońskie i zmuszając je do opuszczenia kraju. Z mulatami, w których żyłach płynie przecież również krew murzyńska, doszli do porozumienia, — natomiast wobec białych, przynajmniej białych Francuzów, okazali się nieubłagani. Wyparli ich zupełnie z kraju, a w ogromnej liczbie poprostu wyrżnęli. Gdy żołnierze Dessalines'a dokonywali ich rzezi, — przed domami, w których mieszkali Polacy, Niemcy, Amerykanie i inni cudzoziemcy wystawiono warty ochronne, — wszystkich zaś innych białych, to znaczy Francuzów, pozwalano motłochowi żołdackiemu mordować. W uchwalonej dnia 20 maja 1805 roku konstytucji Cesarstwa Haiti (nazwanego tak dlatego, by: 1) podkreślić jego równość z Francją, 2) zatrzeć — przez przywrócenie dawnej nazwy tubylców-Karibów — narzuconą przez europejskich najeźdźców nazwę Saint-Domingue), — w artykule 12 powiedziano, że żaden biały nie może w Haiti postawić

stopy jako pan i posiadacz, ani nie może nabywać żadnej własności — i tylko artykułem 13 wyłączono z pod tej zasady garść naturalizowanych poprzednio Polaków i Niemców.

Haiti, którego ustrój wewnętrzny ulegał następnie najrozmaitszym przemianom, jest po dziś dzień niepodległem państwem murzyńskiem, odznaczającem się dużym stopniem samowiedzy narodowej jego mieszkańców. Naród haityjski przechowuje z wielką czcią pamięć swoich — istotnie bohaterskich — zmagań z Francją i z dumą pamięta o tem, że z walk z wojskami napoleońskiemi wyszedł zwycięsko. Zresztą — pozostał on wierny kulturze francuskiej i językowi francuskiemu, — a nawet po dziś dzień głównie z Francją utrzymuje stosunki handlowe.[1])

* * *

Toussaint-Louverture, czystej krwi murzyn, urodzony jednak już w Ameryce i niepozbawiony pewnego wykształcenia (czytał np. podobno Juljusza Cezara — i uważał go za wzór dla siebie) — był człowiekiem o niepohamowanej ambicji, pysze i żądzy władzy. Nie można go określać słowem „karjerowicz", bo to słowo, odbijające w sobie i giętkość karku i przymilność pochlebczych uśmiechów, jest w odniesieniu do tego jak żelazo twardego, upartego i pysznego człowieka określeniem zbyt pomniejszającem. Tem nie mniej — nie było dlań innego motywu działania, prócz własnej karjery. Nie służył on żadnej idei, — ideę zaprzągł w służbę sobie i w razie potrzeby umiał ją odrzucać na bok.

Wyjechał on w górę na murzyńskiem dążeniu do wolności. Umiał on grać na uczuciach i dążeniach murzyńskich, — umiał stawać się bożyszczem i wodzem mas murzyńskich, — prowadząc oddziały murzyńskie w zwycięskie boje, albo doprowadzając je do entuzjazmu lapidarnemi, żołnierskiemi przemówieniami, czy nawet tylko zwięzłą wymową samych tylko gestów. (Słynne jest jego wystąpienie przed frontem czarnych żołnierzy, gdy — nie mówiąc przy tem ani słowa — do szklanki, pełnej ziarna czarnej kukurydzy, wrzucił ostentacyjnie kilka ziarnek kukurydzy białej i potrząsnął szklanką tak, że ziarnka białe w czarnych znikły). Obejście miał męskie i żołnierskie, wzrok twardy i ponury, — odznaczał się tajemniczością zamiarów i małomównością, — a przytem ogromną nieufnością i podejrzliwością. W ubiorze wyróżniał się od otoczenia to skrajną prostotą stroju zwykłego żołnierza, to znów skrajnym przepychem galowego munduru najwyższej wojskowej rangi.

Jego „Rubikonem", — momentem, w którym wypłynął on na widownię dziejową z mroków nic nie znaczącej i przez źródła dziejowe naogół nieprzekazanej działalności skromnego przywódcy części murzyńskich rewolucjonistów, — jest dzień 6 maja 1794 roku, w którym porzucił on służbę hiszpańską i oddał się wraz ze swym liczącym 4000 ludzi oddziałem na usługi wrogów sprawy murzyńskiej w Saint Domingue: Francuzów.

Szczęście mu sprzyjało: pogłębiająca się rewolucja, rozkład władz francuskich, anarchja panująca w kolonji stanowiła dlań dogodną konjunkturę do szybkiego pięcia się coraz wyżej. Jego wciąż rosnący oddział, trzymany w karbach żelaznej dyscypliny i świetnie dowodzony, jego zresztą spiski, ogarniające cały kraj, były w morzu anarchji najmocniejszym punktem stałym. Rewolucyjne władze francuskie darzyły go zaufaniem, — z rąk foancuskich otrzymywał coraz wyższe rangi, nie wyłączając rangi generalskiej. Choć był to człowiek o sztywnym karku, — umiał on do czasu zdobywać się na pełne szacunku pokłony (czy raczej na postawę „na baczność") przed niejednym francuskim dygnitarzem.

Nadszedł czas, gdy w oparciu o swoją silną już naprawdę, a ożywioną duchem murzyńskiej rewolucji armję, stał się on największą potęgą w kraju. Dygnitarzy rewolucji francuskiej zapakował na okręty i odesłał do Francji (z którą zresztą nigdy nominalnych węzłów nie zerwał). Wypędził wdzierających się dla kraju Anglików, dla których bazą była sąsiednia Jamajka. Zlikwidował mulackie państwo Rigauda na południu kraju. Podbił nawet w końcu słabo bronioną, hiszpańską część wyspy. Dnia 26 stycznia 1801 roku, przy huku armat i biciu dzwonów wkroczył do miasta Santo Domingo, odbierając klucze od hiszpańskiego gubernatora Don Garcia i stając się tem samem jedynym już władcą całej wyspy.

Na gruzach obu dawnych kolonij: francuskiej i hiszpańskiej, utworzył Toussaint-Louverture własne państwo, — faktycznie niezależne. Państwo to było rządzone żelazną ręką. Jedyną racją jego istnienia, jedynem prawem i ideą przewodnią — była wola dyktatora. Dyktator wznoszony był na piedestał nieomal bóstwa, — na piedestał istoty nieomylnej i stojącej ponad prawem. Dzień imienin dyktatora: dzień św. Dominika, — był świętem państwowem. W szkołach ludowych przedmiotem nauczania był prócz czytania, pisania, religji i rachunków żywot Touissaint-Louverture'a. „Bezemnie kolonja nie może istnieć" — zwykł był dyktator mawiać. Pogląd ten podzielała wielka liczba jego poddanych — nieraz nie należących nawet do właściwych jego zwolenników. Pycha dyktatora nie miała granic. Jego mowy, chaotyczne i pełne wyzwisk i inwektyw, wygłaszane niekiedy z ambony w kościołach, stały się dzięki swoim właściwościom wprost słynne. — Dyktator wierzył w swoje nadzmysłowe posłannictwo, twierdził, że jego zjawienie się było już poprzednio przepowiadziane i że on sam już oddawna czuł, że stworzony jest do wielkich przeznaczeń. Jeden z jego biografów pisze,[2]) że ta jego wiara we własne przeznaczenie i szczęśliwą gwiazdę była dlań czemś, „co jego anarchicznej osobowości dawało grunt pod nogami".

Państwo Toussaint-Louverture'a nie miało ideologji narodowej. Jego ideologją była ideologja państwowa. Nie czyniło ono zadość dążeniu Murzynów do wydobycia się z pod supremacji białych. Toussaint opierał się na Murzynach, póki szedł do władzy, — kiedy władzę objął, zaczął dążyć do ustalenia równowagi między dwoma, czy ściślej trzema rasami, — stawiając się samemu nad niemi jako czynnik nadrzędny. — Bardzo dbał o względy białej arystokracji plantatorskiej, — oraz dławił radykalne dążenia murzyńskie. Niekiedy stosował wobec jaskrawych wystąpień murzyńskich metodę jawnego terroru, — a przywódcę jednego z takich wystąpień generała Moyse, rozstrzelał. Na plantacjach wprowadził system, zbliżony do niewolnic-

[1]) O życiu duchowem dzisiejszego Haiti patrz interesującą rozprawę: Victor Tantet *„Survivance de l'esprit français aux colonies perdues"*. Paryż 1900, Ed. A. Challamel.

[2]) Erwin Rüsch *„Die Revolution von Saint Domingue"*. Hamburg, 1930 — stronica 167.

twa. Do komisji, która opracowała konstytucję jego państwa — konstytucję, dającą stanowczy wyraz ideologji państwowej — zamianował tylko białych i mulatów. Przez ludność murzyńską, która w czasie rewolucji widziała w nim murzyńskiego bohatera narodowego, uważany był poprostu za coś w rodzaju „białej agentury“.

Podstawę siły Toussaint-Louverture'a stanowiła jego armja. Cytowany wyżej E. Rüsch pisze o niej,[3]) że „można śmiało twierdzić, iż armja ta w ciągu XIX wieku nie była zdystansowana przez żadną inną na kontynencie amerykańskim: ani przez paragwajską, ani przez chilijską, ani przez te armje, które brały udział w północnoamerykańskiej wojnie secesyjnej. Niezmordowanie ćwiczono wojska (Toussaint-Louverture'a) we wszystkich zdobyczach rewolucji francuskiej: w wykorzystaniu terenu, w tyraljerze i t. d. — i we wszystkiem tem dochodzili czarni żołnierze do dużej perfekcji“. Armja była wyśmienita — i czysto murzyńska. Na jej czele stali wyłącznie murzyni. „Niezwykłą rolę[4]) odgrywała wielka grupa czarnych parwenjuszy, którzy stali się wysokimi wojskowymi, urzędnikami cywilnymi i bogatymi właścicielami ziemskimi. Z podziwem widziano, jak Afrykanie umieli się dostosować do swego nowego położenia, jak czynili zadość swym obowiązkom reprezentacyjnym, — jak się starali kształcić i jak zadziwiająco w ich kołach wyrabiała się towarzyska poprawność i ogłada“.

Państwo Toussaint-Louverture'a zorganizowane było świetnie — i sprawną ręką niezmordowanego i naprawdę genjalnego dyktatora prowadzone było do rosnącej pomyślności.

I nagle — przyszła katastrofa. Skąd się ona wzięła? „*La fimée pas jamain levée sans difé*“, mówi haityjskie ludowe przysłowie. Niema dymu bez ognia. Katastrofa ta wynikła stąd, że mocna napozór budowla państwa Toussaint-Louverture'a była budowlą bez fundamentów.

Gdy dnia 29 stycznia 1802 r. pierwszy wielki transport wojsk napoleońskich (w tej liczbie i naszych nieszczęsnych legjonów) wylądował u wybrzeży Haiti — państwo czarnego dyktatora ujawniło całą swoją słabość. Całe życie kraju się rozprzęgło. Biali i mulaci z miejsca przerzucili sie na stronę Francuzów. Śród Murzynów tylko element najpatrjotyczniejszy skupił się — wbrew dotychczasowym swym uczuciom — dokoła znienawidzonego dyktatora, przekładając rodzimego tyrana nad obcego najeźdźcę; żywioły mniej nieprzejednane zachowały bierność, nie martwiąc się zachwianiem rządów Toussaint-Louverture'a. Armja chciała się bić — ale wielu z pośród jej wodzów zupełnie niedopisało. Czarni karjerowicze, umiejący olśniewać bogactwem swych mundurów w kawiarniach Port-au-Prince, Cap Français i Santo Domingo lub w najlepszym razie żelazną ręką dławić opozycję — nie bardzo mieli ochotę nadstawiać karku w walce z potężnym przeciwnikiem zewnętrznym.

Generał Laplume (były dowódca szajki bandytów, awansowany przez Toussaint-Louverture'a) przeszedł wraz z całą południową prowincją, której był gubernatorem, na stronę Francuzów. Inni generałowie zaczęli kapitulować jeden po drugim. Dyktator gotów był walczyć (chodziło wszak o jego skórę), — ale całe państwo rozlazło mu się w palcach. Dnia 1 maja 1801 r. musiał się poddać.

Ostatni poddał się Dessalines, były niewolnik, — haityjski bohater narodowy, od którego imienia wziął nazwę hymn „Dessalinienne“, — wsławiony między innemi tem, że własnoręcznie podpalił swój pełen bogactw pałac w St. Marc, gdy okazała się potemu konieczność strategiczna.

Toussaint-Louverture wywieziony został do Francji i umieszczony w kazamatach twierdzy Fort Joux w Jurze, gdzie dnia 7 kwietnia 1803 r. zmarł. Żegnany był przez rodaków bez żalu. Bonaparte nie pożałował pokonanemu twardego losu, — którego później jemu oszczędzono. Bonaparte umarł tylko na wygnaniu. Toussaint — skonał w więzieniu.

Naród haityjski popełnił błąd, że swego dyktatora (nie przypominającego w niczem Mussoliniego, czy Lenina, bo nie służącego żadnej idei, — przypominającego raczej Czang-Tso-Lina w Mandżurji) nie usunął w porę — zanim przyszła inwazja. Byłby sobie oszczędził wielu wielkich klęsk, niedoli, rozlewu krwi i zniszczenia kraju.

Ale, chociaż wielkim kosztem, zdołał później te klęski odrobić. W roku 1803 wybuchło powstanie, — na którego czele stanął wkrótce generał Dessalines. Dnia 29 października 1803 roku proklamowano niepodległość Haiti. Resztki wojsk francuskich, zdziesiątkowane przez epidemje i oręż powstańczy, — pod wodzą Rochambeau'a (dowódca ekspedycji Leclerc złożył na Haiti głowę) uciekły z wyspy.

Naród haityjski zaczyna liczyć swe dzieje od 29.X 1803 r., — rządów Toussaint-Louverture'a do dziejów swej niepodległości nie wlicza.

WIEL.

[3]) *Op. c.* str. 140 — 141.
[4]) Rüsch, *op. c.* str. 143 — 144.

CHEMIZM ŻYCIA

(Dokończenie)

NA POWSTANIU białka kończy się wprawdzie ściśle chemiczna historja rozwoju przyrody: jej dzieje starożytne. Ale po starożytności następuje średniowiecze, renesans, nowożytność. I jak w historji, podstawy starożytności tętnią wciąż w treści ksiąg późniejszych, tak i w dziedzinie przyrodniczej chemizm nie przestaje grać roli w dalszym rozwoju.

Po przez miljony lat komórka białkowej protoplazmy rozwija się pod wpływem warunków zewnętrznych. Stopniowo układa się ona w tkanki i tworzy organy gatunków roślinnych i zwierzęcych coraz wyższych. Całe tomy dzieł, na których streszczenie niema tu miejsca, uczą nas, jak z owej komórki powstawały drobnoustroje, pierwotniaki, robaki, gady, ryby, ptaki i ssaki, z człowiekiem na szczytowym szczeblu ich drabiny. A chemizm życia, czy jest on życiem ameby lub ostrygi, czy życiem człowieka, trwa wciąż na tej samej podstawie, że komórka odtwarza komorkę sobie podobną: mięśniowa mięśniową, mózgowa mózgową, czerpiąc składniki ze środowiska. Drogą rozwoju powstały

z istot jednokomórkowych dwu i wielokomórkowe. Komórki zróżnicowały się w swych kształtach i funkcjach biologicznych, z których powstały fizjologiczne, ale w swym składzie chemicznym pozostały zawsze substancją białkową, podlegającą temu samemu chemizmowi, który trwa. Trwa, czy asymilacja odbywa się wchłanianiem całą powierzchnią ciała przywartego do skorupy, czy we fraku i dekoltowanej sukni za stołem ze srebrną zastawą wśród kwiatów. Reprodukcja ma te same podstawy, czy odbywa się bez wstępów przez zbliżenie się do siebie dwóch organizmów wśród morskich fal, czy też poprzedzają ją wymowne spojrzenia, czułe lub namiętne słowa, bale, bukiety i pierścionki.

Na najwyższych, jak na najniższych szczeblach zoologicznych, życie sprowadza się w swej istocie zawsze tylko do asymilacji i reprodukcji, które są zawsze tym samym chemizmem, tworzącym te same reakcje, a tylko w epruwetkach prostszych lub bardziej skomplikowanych.

Wszelkim reakcjom chemicznym towarzyszą zjawiska wtórne. Jednym termiczne (wzrost lub spadek temperatury), innym prócz tego świetlne (płomień przy utlenianiu się węgla), świetlne i dźwiękowe (eksplozja nitrogliceryny), elektryczne (spożytkowujemy je w baterjach dzwonkowych). Analogicznie, towarzyszą zjawiska wtórne reakcjom wynikającym z chemizmu życia. Gdy cały organizm jest jeszcze bezkształtną masą amebową, to zjawiska te ograniczają się do odruchów całej masy. Gdy jednak następuje zróżnicowanie komórek i organizm staje się stopniowo konstrukcją tkankową różnych mas ukształtowanych, to chemizmowi każdego rodzaju komórek towarzyszą zjawiska wtórne odmienne. Np. u zwierząt zimnokrwistych nie spotykami się ze zjawiskami termicznemi. Towarzyszą one natomiast chemizmowi komórek u ptaków i ssaków. Wreszcie u szczytu zwierzęcej drabiny spotykami myśl i świadomą wolę czynu, jako zjawisko towarzyszące chemizmowi komórek mózgowych.

Chemizm komórek mózgowych jest więc źródłem czynów zarówno św. Franciszka z Asyżu, jak Nerona; zarówno Żółkiewskiego pod Cecorą, jak „nieznanych sprawców" na gliniankach. Dziełem tego chemizmu jest tak dobrze „Iljada" i „Pan Tadeusz" — jak „Barbara Ubryk" i „Tajny Detektyw". Słowem wszystko, co subjektywnie oceniamy jako wielkie dzieło lub marnotę, jako cnotę lub występek, czyn szlachetny, czy podły, rozum czy głupotę, prawość czy zbrodnię, jest objektywnie tylko zjawiskiem, wynikającem z chemizmu naszych komórek mózgowych.

Odpowiedzialność? Pusty dźwięk. I chyba szukać jej będziemy w elektronach mgławicy; bo przecie to wszystko tam się zaczęło, i odpowiednia popularyzacja wiedzy przyrodniczej ukazała nam chyba dosyć wyraźnie nieprzerwaną ciągłość owego łańcucha.

Jeśli ostateczna konklucja materjalistyczno-wolnomyślicielskiej doktryny nie jest sformułowana równie dobitnie, jeśli ta kropka nad moralnem „i" owej doktryny nie została postawiona, to nie mniej jednak musiała ona wyrosnąć w duszy pokoleń, karmionych takiemi teorjami. A opanowywały one myśl tem łatwiej, że opierały się wszak na zdobyczach wiedzy pryyrodniczej, imponowały autorytetem i niewzruszalnością nauki ścisłej.

Ogółowi, nabywającemu popularyzowane w tym duchu wiadomości przyrodnicze, nie mogło nawet przyjść na myśl kwestjonowanie ich prawdy. Zresztą nie fałszowano prawdy faktów naukowych. Ale czytelnik przeważnie nie zastanawiał się i nie spostrzegał, że dla stworzenia nieprzerwanego łańcucha pojęć materjalistycznych wiązano konkretne, ściśle naukowe ogniwa, sofizmatami.

Znane są ogólnie sofizmaty matematyczne prowadzące do wniosku, że jeden równa się czterem, a kąt prosty rozwartemu. Ponieważ wniosek przeczy tu zbyt brutalnie zdrowemu sensowi, więc popycha on nas automatycznie do szukania i wykrycia sofistycznej wolty dość łatwo; boć każdy pamięta jako tako zasady algebry i geometrji. Atoli wobec zagadnień przyrodniczych ogoł jest słabiej uzbrojony, skutkiem zaniedbania zasadniczego wykształcenia w tym kierunku.

Łańcuch chemizmu od drgania elektronów w przestrzeni do myśli i czynów ludzkich przeciągnęła doktryna materjalistycza bardzo sprytnie. Bo pod pozorem popularyzowania czysto naukowych teoryj oderwanych od form życia społecznego, wyciąga się z nich wnioski ogólniejszej natury i uprawia się tresurę mózgów, naginając je do myślenia mechanicznemi, wyłącznie materjalnemi, kategorjami.

Materjalistyczno-przyrodnicza teorja jest w zgodzie z istotną nauką na przestrzeni od elektronów już drgających (skąd powstał ich ruch i one same, to już inna sprawa),[1]) do pojawienia się życia na ziemi. Również jest prawdą niewątpliwą, że protoplazma, że białko, że owa najprymitywniejsza postać życia, jest substancją chemiczną, a asymilacja i reprodukcja wynikiem jej reakcyj chemicznych. Ale zastanówmy się, czy tylko chemicznych?

Białko w epruwetce reaguje z odczynnikami podobnie, jak setki innych związków: daje połączenia—białkany, ulega hydrolizie tworząc amidy kwasowe, daje charakterystyczne zabarwienia i t. d. To prawda. Ale metoda materjalistycznych dowodzeń polega na tem, że operuje się wyłącznie podobieństwami, pomijając różnice. Podkreśla się zatem podobieństwa między ludzkim rozumem, a zwierzęcym instynktem; między organizmem człowieka, a jakiegokolwiek ssaka, i stąpając wdół po podobieństwach schodzi się do protoplazmy. Podobnie, tylko o podobieństwach mówi się, szeregując białko wśród innych substancyj chemicznych i upatrując, między innemi, analogję struktury komórkowej z krystaliczną.

Otóż tu właśnie tkwi przemilczenie doniosłej różnicy. Reakcje jakiejkolwiek substancji chemicznej są niezależne od jej krystalicznej budowy. Soda, saletra, siarczan miedzi, czy jakakolwiek sól, pozostaje zawsze sobą, zawsze jednakowo reaguje i jednakowe tworzy związki, choćbyśmy jej kształt krystaliczny zniszczyli rozkruszając, stapiając, czy rozpuszczając kryształki. Jeśli szukać analogji między krystaliczną budową dowolnej soli, a komórkową białka, to i ono we wszystkich reakcjach zachowuje się niezmiennie, choćby zniszczyć jego kształt komórkowy. We wszystkich „epruwetkowych", jeśli je tak można nazwać; ale właśnie nie

[1]) Patrz „Myśl Narodowa" Nr. 24 „Elektrony jako absolut".

w tych, które są życiem. Asymilacja i reprodukcja ustaje z chwilą zniszczenia komórkowego kształtu. Życie nie jest więc atrybutem białka jako substancji, ale jako komórki. Nie białko żyje i rozmnaża się, a żyje komórka białka. Taka zachodzi tu różnica, jak między marmurem, a marmurowym posągiem. Marmur—to tylko bryła chemicznej substancji, a w posągu tkwi myśl i wola twórcy, która jest siłą nową, istniejącą poza chemizmem marmuru i która działa; bo kształty posągu poruszają myśli i uczucia widza. Farba drukarska i masa papierowa, to też tylko chemiczne substancje. Ale ujęte w kształt książki, której treścią jest „*Quo Vadis*“ lub „Trylogja“, są ogniskiem siły nietylko chemicznej i źródłem nietylko chemicznych reakcji.

Ale to są porównania i argumenty może bardziej literackie niż naukowe. Wróćmy do naukowych. Nazywanie asymilicji i reprodukcji własnością jest błędem. Pojęcie własności oznacza stan bierny, a życie jest stanem czynnym: nie własnością, a funkcją, którą spełnia nie masa białka, a jego komórka. Ona nie jest substancją, a istotą z białkowej substancji stworzoną i mającą swój byt indywidualny.

Powiedziano, że mikroskop wydał śmiertelną walkę przesądom i zabobonom. Otóż chodzi o to, którym, a zależy to od tego, czy umiemy przez jego soczewkę patrzeć. Materjalizm ujrzawszy przez nią komórkę białka, orzekł, że ona jest nietylko jedną z żyjących istot, ale musiała być początkiem życia istot wszelkich, i poprzez różne fazy rozwoju stała się szczupakiem, bocianem, niedźwiedziem, człowiekiem.

Dla czegóż to koniecznie tak być musiało?

No, bo jakże miałby odrazu powstać niedźwiedź taki wielki i taki skomplikowany w swej budowie? To byłoby wiarą w cuda.

A komórka? Czy jej powstanie uwalnia nas od wiary w cuda dlatego, że ujrzeć ją możemy tylko przez mikroskop? Bo odkąd został udoskonalony, widzimy, że budowa komórki wcale nie jest taka prosta, jak to się początkowo wydawało. Widzimy również przez jego soczewki, jak komórka broni się odruchowo w zetknięciu z jakiemiś pyłkami, wśród których została wypadkowo uwięziona, widzimy jak porusza się refleksyjnie, jak rośnie, jak się rozmnaża, jak żyje. I nagłe pojawienie się jej na ziemi wśród mineralnej martwoty chcemy uważać za rzecz zupełnie prostą, zrozumiałą, naturalną? Już nie cud? Ale wszak w gruncie rzeczy niedźwiedź robi to samo, co komórka: porusza się, rośnie, rozmnaża się i żyje, i różnica na tem tylko polega, że na to patrzymy gołem okiem, a na tamto przez mikroskop. Jakże my łatwo suggestjonujemy się teorjami!

Pojawienie się komórki białkowej na ziemi, pojawienie się życia, nie daje się wyjaśnić drogą przyrodzonych ewolucyj chemicznych. I mikroskop, jeśli w szkła jego patrzeć z namysłem, nie jest bronią zabójczą dla „zabobonu“ stworzenia. Jest on nią raczej dla zabobonu transformizmu, i to już bez cudzysłowu. To też krótko trwało jego panowanie w nauce.[2])

Gdyby życie było wynikiem chemizmu, gdyby w niem miało swoje źródło, to energja chemiczna białka musiałaby zanikać, lub przynajmniej zmniejszać się wybitnie z chwilą, gdy jego komórka rodzi nową. Każda bowiem energja wyczerpuje się w swej postaci, gdy się wyraża w postaci nowej lub w jakimbądź efekcie. Jest to stwierdzone prawo naukowe. Tymczasem reprodukcja komórki przez komórkę nie umniejsza energji chemicznej jej substancji. Białko zachowuje potem te same reakcje, co i przed tem, i występuje w nich z tą samą siłą. Więc nie w tej energji, nie w chemizmie znalazło życie swój początek.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby chemizmu życia nie było. Owszem, istnieje. Tylko rozumieć należy go zgoła inaczej, niż to ujmuje materjalistyczna doktryna. W żyjącym organizmie zachodzi mnóstwo reakcyj chemicznych, niezmiernie interesujących, których cały szereg pozostaje dotąd niezbadany. Lecz i w tych nawet, które już zbadać zdołano, tkwi zagadka: mianowicie w ich powstawaniu i ustawaniu. Bowiem z chwilą śmierci organizmu, wszystkie reakcje chemiczne, zachodzące w nim za życia, nagle ustają, robiąc miejsce zgoła innym, a przecież substancje pozostały te same. Czemu więc reagują inaczej? Nie spadek temperatury jest tego przyczyną, bo sztucznie możemy ją utrzymać na poziomie życia. Nie jest też przyczyną ustanie bicja serca, bo mechaniczmie możemy i ten ruch podtrzymać, zwłaszcza u niższych stworzeń. Mimo to jednak powstają reakcje wręcz odmienne niż za życia. I w trumnie mamy już istotnie tylko z chemizmem do czynienia. Wyłącznie z chemizmem, którego już nic nie powstrzymuje. Życie nie było jego wynikiem. Było jego hamulcem, siłą, która nie z chemizmu wyrosła, ale chemizmem kierowała. Więc nie chemizm jest źródłem życia, a życie źródłem chemizmu: tego, który ustaje z chwilą śmierci. Chemizmowi, w tej roli, jaką nadać mu usiłuje materjalizm, podlega tylko materja martwa: proch. I zgoła gdzieindziej szukać należy Siły, która życiu z owego prochu powstać kazała i która mu w proch każe się obracać.

Doktryna materjalistyczna zwiodła ludzkość udając, że odpowiada na pytanie: skąd i jak powstało życie. Może kiedyś nauka na nie odpowie. Ale jeśli odpowie, to chyba nie inaczej, niż o tem mówi następująca, podobno prawdziwa anegdota.

Pociągiem zdążającym z Lyonu do Paryża jechało dwóch młodych ludzi, żywo dyskutując o zagadnieniach biologicznych. Rozmowie tej przysłuchiwały się osoby siedzące w przedziale, wśród których jakiś starszy jegomość z niewielką szpakowatą brodą. Z rozmowy młodzieńców okazało się, że jeden z nich jedzie do Paryża, by zdawać doktorat i bronić w Sorbonie swej doktorskiej pracy na temat „Jak powstało życie“.

Starszy pan, przysłuchując się rozmowie i spoglądając na kilkunastoarkuszowy referat, który

---

[2]) Genezą teorji transformizmu jest wolnomyślicielska pretensja znalezienia początków zjawisk poza Bogiem. Tkwi ona w owem „dlaczego“, którem mickiewiczowski szatan przemówił do ludzi. Człowiek buduje każde swe dzieło materjalne stopniowo z elementów najprostszych, a że niezdolny jest pojąć powstania gmachu bez koncepcji pojedyńczych cegieł, więc analogicznego systemu budowy skłonny jest szukać i w tem, co nie jego jest dziełem. Niedźwiedź, wzięty tu za przykład, nie mógł jego zdaniem pojawić się odrazu w swej postaci. Musiał powstawać stopniowo z elementów prostych, które materjalizm upatrywał w komórce. Gdy jednak rozwój nauki wykazał, że komórka, choć niezmiernie mała, nie jest bynajmniej elementem prostym, ale „niedźwiedziem“ może nawet trudniejszym do pojęcia od tych, które kształcą w Smorgoni, więc teorja transformizmu utraciła rację bytu. Trzeba było powrócić do pojęcia że początek dzieła nie w niem leży, a w genjuszu i woli twórcy, i szukać początków przyrody nie w przyrodzie, a ponad nią.

młodzieniec wydobył z teczki, odezwał się z uśmiechem: „więc pan aż tyle papieru zapisał, aby odpowiedzieć na pytanie, na które odpowiedź jest przecie wiadoma oddawna“.

— Wiadoma? A jakaż według pana? — spytał przyszły doktór, nieco urażony.

— Bardzo prosta. Życie powstało, skąd wszystko: Bóg je stworzył. Młodzieniec obrzucił jegomościa spojrzeniem wyższości:

— Tak... zapewne... szkoda tylko, że taka odpowiedź nie wystarcza już dziś nawet kucharkom. — Nauka prowadzi do trochę mędrszych konkluzji, — dodał tonem uczonego. Nie onieśmieliło to jednak pana ze szpakowatą bródką:

— Nauka, która w swych konkluzjach nie prowadzi do Boga, jest głupia.

Tu kandydat na doktora uczuł się już trochę dotknięty i zmrużywszy oczy, nieco pogardliwie zapytał:

— Kimże pan jesteś, że mówiąc do człowieka nauki tak się wyrażasz?

Starszy pan przedstawił się: — Nazywam się Pasteur.

Dyskusja była skończona.

JAN WORTMAN

JAN KASPROWICZ REKTOREM

(W SZÓSTĄ ROCZNICĘ ZGONU — WSPOMNIENIE)

ARTYKUŁY Zygmunta Wasilewskiego w związku z pamiętnikiem żony wielkiego poety obudziły we mnie chęć napisania kilku słów o Janie Kasprowiczu, aby chociaż fragmentarycznie przedstawić jego stosunek do akademickiej polskiej młodzieży.

Było to w 1921 czy 1922 roku, kiedy do młodzieży dotarła wieść, że Jan Kasprowicz został wybrany rektorem uniwersytetu Jana Kazimierza. Radości w obozie narodowym młodzieży nie było końca. Oto rektor, jakiego nam potrzeba; oto człowiek, który nas rozumie. A były to chwile gorącej walki o wprowadzenie *„numerus clausus“* dla młodzieży żydowskiej; walki do dziś dnia zresztą toczonej uparcie. To też pamiętam, że pośpieszyliśmy natychmiast z gratulacjami do J. Magnificencji nie ze zwyczaju oficjalnego, ale istotnie czyniąc zadość rzeczywistej potrzebie rozradowanych serc naszych. Potok naszej elokwencji przerwał Kasprowicz dobrodusznym uśmiechem i typowym dla swej szczerej natury ruchem t. j. obejmował każdego z nas serdecznie ramieniem i sadzał w fotelach naprzeciw siebie. Takim prostym i naturalnym (bez gronostajów) rektorem był Jan Kasprowicz zawsze i takim na zawsze pozostał w naszej wdzięcznej pamięci.

Nie zawiódł pokładanego w sobie zaufania. Z troską widoczną w głębokich i rozumnych oczach, której wrażenie potęgowały głębokie pionowe fałdy na wyniosłem czole, mówił do nas, że rozumie niebezpieczeństwo zalewu żydowskiego, idącego na nasze uczelnie i wie, czem to grozi całemu polskiemu życiu: to też odrazu znaleźliśmy się z Janem Kasprowiczem patrjotą na jednej platformie, z której nie zeszedł on nigdy przez cały czas rządów rektorskich.

Pamiętam jak Kasprowicz, nie mogąc nam dać auli uniwersyteckiej na wiec, ponieważ miano w tym dniu przyjmować tamże wycieczkę dziennikarzy francuskich, oddał do naszej dyspozycji cały westybul uniwersytecki i sam na ten wiec przyszedł. Wszedł w momencie, kiedy przedstawicielka (p. Bałabanowa) młodzieży lewicowej piorunowała na jakiekolwiek ograniczenia dla młodzieży mniejszościowej na uniwersytecie, dowodząc, że przybytek wiedzy powinien być otwarty bez względu na narodowość, język, religję, rasę i t. p. Wtedy Wielki Polak nie wytrzymał i chociaż rektor dał tej pani ciętą odpowiedź, stwierdzając, że nie jest obojętną dla Polski kwestją, kto jest absolwentem uczelni akademickich, czy jej synowie, obrońcy i przyjaciele, czy też elementy obce, wręcz wrogo odnoszące się do niej.

Jestem przekonany, że gdyby sprawa *„numerus clausus“* zależała wówczas tylko od Jana Kasprowicza rektora i młodzieży polskiej Lwowa, to byłaby załatwiona tak, jak to się wówczas stało na Węgrzech, gdzie — jak wiadomo — na uczelnie akademickie żydzi przyjmowani są tylko w takim procencie, w jakim zamieszkują Węgry.

Młodzież kochała takiego rektora. Pamiętam, było to w noc wigilijną, około setki młodzieży, nie mogąc w domu rodzinnym zasiąść do uczty wigilijnej, łamało się wspólnie opłatkiem w domu akademickim. Ktoś rzucił projekt: „chodźmy pod okna rektora zaśpiewać kilka kolęd“. Kasprowicz zaskoczony tą spontaniczną a życzliwą manifestacją zbiegł do nas, wzruszony, w samej marynarce, zapominając wziąć futro i serdecznie do nas przemówił. Kolędy zakończyliśmy „Rotą“ i wiwatami na cześć wielkiego poety.

Pamiętał Kasprowicz i o poległych na polu chwały akademikach; to też na tablicy wmurowanej w gmachu nowego uniwersytetu w zewnętrzną ścianę sali t. zw. Unji Lubelskiej, umieścił następujące słowa (cytuje z pamięci):

„Kwiat, co się począł rozwijać, wcześnie wyrwała śmierć bezlitosna, aby na wieki nieśmiertelności świadectwo, w niebiańskich płonął ogrodach, dla mężnych rycerzy“.

W świetle tych słów staje się jasnym toast, jaki wzniósł Kasprowicz na przyjęciu w Akademji rolniczej w Dublanach ku czci poległych; gdzie to ku zdumieniu obecnych zaczął przemówienie od słów: „Niech żyją umarli“.

Wielki poeta, rektor i miłośnik młodzieży zostawił jeszcze inny piękny pomnik w spuściźnie. Oto za jego rządów i dzięki dużym wysiłkom stanął do użytku młodzieży polskiej we Lwowie: „Nowym Dom Akademicki im. Jana Kasprowicza“ przy ulicy Pijarów.

Wielka, szczera dusza Kasprowicza umiała, nie szukając tego, zniewalać ku sobie i przywiązywać na zawsze otoczenie. Wspomnienie Kasprowicza żyje w duszach młodzieży i starszych. Uważałem za wskazane tych kilka słów skreślić, aby jeszcze jeden jasny promień padł na tę szlachetną postać wielkiego Polaka.

Ks. TADEUSZ STROŃSKI

NA WIDOWNI

Napad w Piotrkowie — Nienawiść wrogów narodu polskiego do O. W. P. — „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą" — Wieczna romantyka młodości, a zużyte rekwizyty romantyzmu — Janosiki koncesjonowane.

W DZIENNIKACH można było czytać wiadomość:

„Dnia 1 b. m. około godz. 10 wieczorem na ulicy Sulejowskiej na przedmieściu Piotrkowa Trybunalskiego, na powracającego samotnie do domu członka Obozu Wielkiej Polski, Celestyna Misztelę, napadła bojówka komunistyczna, złożona z 10 ludzi, uzbrojona w noże. Bojówce przewodził znany na terenie Piotrkowa komunista-nożownik Herman Geller, który wraz ze swymi ludźmi poranił niebezpiecznie p. Misztelę. Ofiarę napadu w stanie ciężkim przewieziono do szpitala... Zaznaczyć trzeba, że podnoszący ostatnio głowę piotrkowcy komuniści, dawno się już odgrażali, że „z obwiepolakami zrobią porządek"".

Zastanawiająca jest ta zawzięta, zapamiętała nienawiść, jaką wrogowie Polski: komuniści czy żydzi przepełnieni są w stosunku do młodzieży obozowej. W Piotrkowie dziesięciu z nożami napada znienacka na samotnego, bezbronnego... W Wilnie tłum podnieconego do nieprzytomności żydostwa kamieniami obrzucał dorożkę, która wiozła śmiertelnie zranionego...

Jak każdy ruch na większą miarę, mający coś do dokonania w historji, ruch, którego wyrazem jest Obóz Wielkiej Polski, wymaga od swoich wyznawców narażenia się na niejedno niebezpieczeństwo, gotowości na niejedną ofiarę. Wymaga siły charakteru wobec przeciwności. A przeciwności te są rozmaitego rodzaju, bo różnorakiemi barwami mieni się ta długa wstęga nieprzyjaciół Obozu, u której początku błyszczą noże komunistów piotrkowskich i czernią się marynarki i chałaty rozwścieczonej tłuszczy żydowskiej z wileńskiego zaułka. Nie potrzeba przytaczać wszystkich prób, na które młodzi z O. W. P. wystawiani są każdego dnia, z któremi od pierwszej chwili oswojeni są, jak z chlebem powszednim: usunięcie z posady, udaremnienie na nieokreślony czas planu założenia własnego ogniska domowego, pozbawienie możności pracy w obranym zawodzie, drobne i większe, częstokroć jakże uciążliwe utrudnienia i szykany! Czyż Obóz Wielkiej Polski nie dlatego także jest — Obozem, że kto zaciągnie się doń, zgóry już wyrzeka się wygód i życiowych ułatwień na drodze do „karjery", że dobrowolnie decyduje się na życie „obozowe", dalekie od komfortu, wśród rozlicznych trudów i prywacyj, w ustawicznem pogotowiu i walce?

„Gorąco? — Ha!... w upalne dni
Najprędzej łan dojrzewa"

— pisał niegdyś, w wierszy specjalnie dla młodych obozowców przeznaczonym, Karol Hubert Rostworowski. I rzeczywiście „łan dojrzewa" w oczach, Obóz rozrasta się, krzepnie, przeszkody, na które napotyka, powiększają tylko jego siłę atrakcyjną, są i szkołą i próbą równocześnie, dają możność i pracy wychowawczej i prawidłowego doboru. Szeroki front, na którym Obóz zmuszony jest toczyć walkę i wynikająca stąd różnorodność niebezpieczeństw, podniecają i rozpalają wyobraźnię.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że w warunkach, jakie się u nas wytworzyły, jedną z najskuteczniejszych broni Obozu Wielkiej Polski jest to właśnie, iż może się on odwoływać do uczuć patrjotycznych bezinteresownych, niewymienialnych odrazu na „rozsądną" karjerę życiową przezornego i lojalnego „państwowca". Obóz dziś — i on przedewszystkiem — zdolny jest poruszyć te siły w duszy młodzieńczej, które możnaby określić mianem romantyki, zgoła nie równoznacznej z romantyczną manjerą czy romantycznym światopoglądem minionego stulecia, bo tak głębokiej i dawnej, jak odwieczny jest w psychice i cywilizacji naszej pierwiastek rycerski. Pierwiastek wyrzeczenia się rachub i korzyści osobistych w imię wyznawanego ideału, pierwiastek „niepraktycznej" wierności i honoru, zamiłowanie do przygody, do ryzyka nawet[1]), wreszcie wiara we własne siły, nakazująca iść odważnie w życie drogą trudniejszą, rezygnując z oficjalnych protekcyj i tych udogodnień, za które płacić trzeba kompromisem w dziedzinie niezależności duchowej i swobody życia, zgodnie ze swem wewnętrznem przekonaniem.

Ta romantyka młodego pokolenia Polski niepodległej jest czemś zupełnie odmiennem od teatralnego gestu, wytartego, spłowiałego frazesu romantycznego z okresu niewoli. Często nawet polega na tem właśnie, by te fałszywe, romantyczne rekwizyty odważnie wyrzucić na śmietnik. Wie o tem i rozumie to już dobrze każdy uczeń gimnazjalny, z tych, których usuwają dzisiaj ze szkoły za czytanie książek Dmowskiego... Kiedy dyrektor w tużurku, przybrawszy minę dostojną, prawi na zaleconym przez kuratorjum obchodzie szkolnym o „Tym Mężu, Który", „rozumny szałem", „porwał się, nie bacząc na zimne kalkulacje" i t. d. i t. d.— wówczas każdy „sztubak" niemylnym instynktem odczuje w patetycznem *tremolo* troskę o utrzymanie się na posadzie, albo cicho ale wyraźnie dźwięczącą nadzieję korzystnego awansu... I każdy „lizus", pragnący otrzymać dobrą notę, napisze swoje ćwiczenie maturalne tak romantycznie, z takiemi superlatywami o „Czynie Wodza" (przez wielkie „W" i „C"), że zgóry pewny może być życzliwego stosunku nauczyciela, któremu dał taki piękny materjał do pochwalenia się przed zwierzchnością wynikami „państwowego wychowania". Ale wieczysta romantyka młodości wtedy właśnie nakaże „narazić się", napisawszy to, co się myśli naprawdę, wbrew rozważnej nauce ludzi doświadczonych, streszczającej się w maksymach mądrości życiowej: „Głową muru nie przebijesz" albo „Pokorne ciele dwie matki ssie..."

Temu urokowi rycerskiej postawy wobec życia, którą dziś Obóz Wielkiej Polski pociąga wchodzące w życie pokolenia, zabawnie jest probować przeciwstawiać subsydjami pokrzepiane „Bunty Młodych", albo pseudo-zadzierzyste wystąpienia szkolnych czy akademickich „Legjonów"... Nie to może nawet najgorsze, iż „sanacja" niezdolna jest wyobrazić sobie innego gatunku romantyki, aniżeli zbójnicko-janosikowy. Taki już jej typ cywilizacyjny i na to niema sposobu, choć ten rodzaj niezbyt gustom dzisiejszej młodej generacji odpowiada. Ale Janosik, działający na podstawie koncesji, otrzymanej w starostwie i ochraniany starannie przez policję — czyż mógłby był rozpalić wyobraźnię poetycką pięknem i barwnością swoich przygód? Czy nadawałby się do — legendy?

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Oczywiście: narażając siebie dla bezpieczeństwa Polski, a nie Polskę — dla zabezpieczenia siebie. Nie był to najwyższy moralnie gatunek ryzykanctwa, gdy np. spiskowcy z r. 1830 przyśpieszyli wybuch rewolucji listopadowej, choć wiedzieli o zupełnem do niej nieprzygotowaniu, decydując się na ten krok z tego tylko powodu, ponieważ doszła do nich wiadomość o wykryciu spisku przez władze, a potem druga— bodaj dnia 27 listopada—o rozkazie, otrzymanym przez Wielkiego Księcia Konstantego z Petersburga, ażeby natychmiast oddać pod sąd wojenny przywódców sprzysiężenia.

GŁOSY

SĄ „SUKCESY“, KTÓRE W ŻADEN SPOSÓB NIE MOGĄ NAPEŁNIĆ DUMĄ. Dzienniki, nawet narodowe, z uznaniem zanotowały świeżo jeden taki „sukces“, o którym doniosła depesza (PAT-a) z Waszyngtonu. Odbyła się tam w gronie znawców prawa międzynarodowego i specjalistów od spraw polityki międzynarodowej dyskusja w przedmiocie Pomorza polskiego. Starły się sprzeczne tezy. Niemiecką przedstawił istotnie reprezentatywny Niemiec — hr. Westarp, polską ucieleśnił *attaché* prasowy ambasady polskiej — p. Weintal. Trudno było hr. Westarpowi, w obrębie rygorów argumentacji „objektywnej“, udowodnić (a do tego zmierzał), że Niemcy przyjęły 13-ty punkt orędzia Wilsona, zobowiązały się oddać Polsce ziemie zamieszkałe przez Polaków i zapewnić dostęp do morza, ale Pomorze powinno mimo to należeć do Niemiec. P. Weintal poprostu powtórzył klasyczny argument naszej propagandy, że Pomorze polskiem było przed wojną, nawet wedle statystyki niemieckiej — i zebrani znaczną większością głosów oświadczyli się za „tezą polską“. Nie o to nam tutaj chodzi. Interesują nas więcej przyczyny, dzięki którym wieści o podobnych „sukcesach propagandowych“ instynktownie odczuwamy, jako uwłaczające godności narodowej. Razi przedewszystkiem zestawienie dwuch przeciwników. Jest w tem przykra i niepotrzebna groteska, że gdy Niemcy autentycznie reprezentuje germańczyk, w sprawie nordycznego Pomorza staje egzotyczny Weintal. Niepropagandowy zaiste był taki wybór symbolu. Konkretny efekt tego mógł być tylko taki, że zgromadzeni anglosasi musieli pomyśleć sobie: „Jednakże jest coś prawdy w tem popularnem mniemaniu, że Polska — to głównie Żydzi“. — Pomińmy to. Narody świetne i wielkie, czasem, z nieodpowiedzialnością wprost żartobliwą, powierzają prowadzenie niektórych agend obcym najmitom. Zdarza się, że Żyd dostaje się do angielskiej służby dyplomatycznej. Ale pod tym względem znakomicie prześcignęliśmy „filosemicką“ Anglję. Nieznana zupełnie Anglikom jest ta regularność, z jaką my sprawy naszej propagandy zagranicznej powierzamy niechybnie Żydom. Weźmy pod uwagę propagandę w świecie anglosaskim. W Waszyngtonie — tylko co wspomniany Weintal, w Londynie Bauer-Czarnomski i Litauer; pozatem główny tam działacz propagandowy wewnątrz społeczeństwa angielskiego — też Żyd, świeżo naturalizowany — Poliakoff, zakrywający się pseudonimem Augura. Jeśli sądzimy, że dobrze na tem wychodzimy, to trudno o głupszy przesąd. Jakie względy dyktują taką selekcję ludzi, przeważnie mało zdolnych i mało wykształconych, w społeczeństwach anglosaskich obcych i śmiesznych, często nawet językowo niedość przygotowanych? Mówimy, rzecz prosta, tylko o wymaganiach, jakie postawić można obcym siłom najemnym, nie poruszając kwestji koniecznego zrostu psychicznego ze sprawą ojczystą. Nikt twierdzić nie może, iż taki Weintal lepiej po adwokacku przedstawił sprawę Pomorza, niżby zrobił to ktokolwiek inny. W Polsce imię: Weintal nikogo nie napełnia szacunkiem: czemuż inny ma być *prestige* tego imienia zagranicą? Zdajemy sobie sprawę, jak mało jest wśród naszej dyplomacji talentów, jak niski poziom oświaty politycznej. Lecz nawet w dzisiejszych warunkach nie widzimy konieczności, żeby funkcje propagandowe nieodmiennie powierzać Żydom. I w obozie „sanacji“ (ostatnio z powodu obsady rozporządzalnych stanowisk przy Lidze Narodów) — podnosiły się głosy krytykujące ten stan rzeczy. Zmienić go nakazuje wzgląd na tandetę systemu; mocniej jeszcze — wzgląd na godność narodową.

•

ŻE UMOWY NIE REGULUJĄ OSTATECZNIE STOSUNKÓW MIĘDZY NARODAMI, jest rzeczą powszechnie wiadomą. Głębokie przyczyny sprawiają, że zasada *pacta sunt servanda*, czcigodne dziedzictwo cywilizacji europejskiej, nie jest formułą, rozwiązującą wszystkie zagadnienia życia międzynarodowego. Przyczyny, podobne do tych, co powodują, że i w wewnętrznem życiu narodowem przepis prawa pozostaje czasem martwą „literą”. Formalizm prawny nie wystarcza do oceny stosunków międzynarodowych w ich prawdziwej istocie. Pamiętać o tem należy bezwątpienia w każdym wypadku zawarcia nowej umowy międzynarodowej. Chcemy tu jednak zwrócić uwagę na pewien wypadek szczególny. Sceptycyzm co do wartości punktów, podpisanych przez Rosję Sowiecką, przekracza znacznie w wielu umysłach granice, podyktowane trzeźwością naturalną. Stało się poniekąd obyczajem w Europie powojennej uważać, że podpis Sowietów „z natury rzeczy“ nie ma żadnej wartości. Należy podnieść, że praktyka bynajmniej nie potwierdza słuszności tych zarzutów. Od czasu zorganizowania się państwa Sowietów zdarzały się niejednokrotnie wypadki jaskrawej nielojalności w wypełnieniu umów międzynarodowych, lecz winowajcą tak ciężkim ani razu dotąd nie były Sowiety. To nie trzeźwość, lecz nowy rodzaj międzynarodowej kurtuazji nakazuje uznawać, że normalną cechą kontrahenta sowieckiego jest wiarołomstwo. Głosy, posłuszne tej regule powojennego dobrego wychowania, odezwały się także z okazji podpisania ostatnio polsko rosyjskiego paktu o nieagresji. Nie brakło ich w kraju; bardziej typowe może były niektóre zagraniczne, jak głos p. Bernusa w *„Journal des Débats“* z 28 lipca. „P. Bernus — (cytujemy za „Gaz. Polską“) poddaje w wątpliwość argumenty prasy polskiej, przemawiające za podpisaniem paktu i uważa, że jest ona mało przezorna... W jaki sposób Polacy mogli dać wprowadzić się w błąd — pyta w konkluzji autor artykułu — w sprawie polityki sowieckiej, która nigdy nie przywiązuje wagi do zawartych umów?... P. Bernus kończy artykuł poglądem, że obecna paktomanja wydaje mu się absurdalna. Jeśli umowa Kellogga nie ma żadnego znaczenia, to umowy dodatkowe o nieagresji [— pakt polsko-sowiecki formalnie jest tylko „rozwinięciem paktu Kellogga“ — nasz przyp.] również całkowicie pozbawione są sankcyj i nie mają żadnego waloru. W szczególności jeśli chodzi o Sowiety, to zawarcie tego rodzaju umowy nie ma najmniejszego wytłumaczenia. Jeśli Z. S. R. R. jest wrogiem naszej cywilizacji, to...“ i td. Zgoda: Sowiety są wrogiem naszej cywilizacji. Krytycznie należy badać wartość zawieranych z takim kontrahentem umów. Fakty pouczają, że nie można zgóry zarzucać mu bezwzględnej nielojalności W Europie nawet środkowej, zdystansowały Rosję pod tym względem inne mocarstwa, z któremi

świat jednak nadal paktuje najskwapliwiej. Będzie to postęp niewątpliwy, jeśli zdania o nielojalności Sowietów wypowiadać się będzie tylko z odpowiedzialnością. Dziś jeszcze do dobrych form należy tem się nie krępować. Warto zmienić tę modę; ale pamiętać trzeba, iż ta zmiana mody zależna jest niemało od zmiany tonu prasy sowieckiej, która niemniej demagogicznie oskarża Europę, niż Europa Rosję. Dopiero ze wzrostem odpowiedzialności za słowo pisane w Rosji oczekiwać można podyktowanej zdrowym sensem poprawy obyczajów politycznych.

ZAWROTNE TEMPO WYPADKÓW POLITYCZNYCH, jakiego — nie pierwszy zresztą raz po wojnie—jesteśmy świadkami od początku tegorocznej wiosny, skomplikowanej tak dalece nie-przednówkowym kryzysem, zmusza baczniejszych a bezstronniejszych obserwatorów do dopatrywania się u dna dokonywujących się w świecie przemian działania także sił ukrytych, które, starym trybem, usiłują wpływać na samorzutnie rozwijające się wypadki, sztucznie nieraz a złowrogo zaostrzając ewolucję tychże.

W ciągu maja zaabsorbował uwagę kół politycznych mord prezydenta Doumera i następujące po nim wybory parlamentarne we Francji. Rozważania prasowe na temat wzmocnienia się, czy tylko „uskrajnienia“ żywiołów wolnomularskich w rządzie francuskim przez dojście do władzy gabinetu Herriota — a wiadomo, iż, wedle znanego aforyzmu, *„la république, c'est la franc-maçonnerie à découvert“*, usunęły w cień dokonywające się równocześnie analogiczne przemiany na przeciwległym krańcu Europy, t. j. na Bałkanach, a w szczególności w sprzymierzonej z nami Rumunji. Ustąpił tam premier Jorga, niedosyć może krytyczny i samodzielny względem poczynań żydostwa i masonerji, posuwający się jednak, w publicystyce swojej zwłaszcza, do otwartej ich krytyki, a teraz zluzowany w premjerostwie przez notorycznego „brata“, a mianowicie p. Aleksandra Vaidę-Voevoda, „członka Najwyższej Rady i pomocnika Wielkiego Mówcy Wielkiej Loży Rumuńskiej“. Dodać należy, iż tę samą rolę, co p. Vaida w obecnym gabinecie ludowo-siedmiogrodzkim, grał we własnym gabinecie prof. Jorgi p. Konstantyn Argetoiano, „członek Najwyższej Rady 33-go stopnia Obrządku Szkockiego“ (patrz Dalena: *„Kalender fuer Freimaurer“*, 1930).

Gdy mowa o dwóch krajach romańskich, należy wspomnieć i o trzecim, gdzie w najświeższym okresie dokonały się znaczące przemiany ministerjalne. Oto w gabinecie Mussoliniego dwóch najważniejszych ministrów: Grandi (sprawy zagraniczne) i Mosconi (finanse) musieli ustąpić miejsca kreaturom p. Teoplitza, a to pp. Suvichowi i Jungowi. Jeżeli się zważy, że linja gabinetu Mussoliniego w sprawie żydowskiej niejednej podlegała już oscylacji, posuwając się do tolerowania ostrych awantur anti-teoplitzowskich w Izbie (Farinacci!) po zamordowaniu Matteotti'ego, później zaś naodwrót ulegając wszechstronnym wpływom ministra Volpiego (z *„Banca Commerciale“*), to nie można nie zwrócić pilnej uwagi na zwrot ten jej ostatni, który, nie z przypadku zapewne, zbiega się ze szczytowym, jak dotąd trjumfem hitleryzmu w Niemczech.

NAUKA I LITERATURA

O STEFANIE DUSZANIE

WSZEŚĆSETNĄ rocznicę wstąpienia na tron serbski Stefana Duszana ukazała się praca o nim p. Z. Oknińskiego, jako odbitka z „Przeglądu Powszechnego“ *). Dzieje Duszana, poprzedzone zarysem historji królewskiej rodziny serbskiej Niemanidów, przedstawia autor z wielką skrupulatnością i dokładnością, zużytkowując dla swego celu możliwy materjał historyczny, począwszy od współczesnych Duszanowi historyków bizantyjskich i dubrownickich, jak Kantakuzen, Gregorcz, Orbini, Luccari, kończąc na późniejszej literaturze historycznej, aż do czasów najnowszych. Synteza, dokonana przez autora, pomimo złożoności i szczegółowości konstrukcji, daje jasny, wyrazisty obraz dziejów politycznych panowania Duszana. Dzieje się to dzięki dobrej metodzie konstruowania prac, wyniesionej przez autora ze szkoły prof. O. Haleckiego. Poza dziejami polityki zewnętrznej Duszana, kreśli autor stan kulturalny Serbji pod jego rządami. Pominąwszy już znaną działalność prawodawczą Stefana, ukoronowaną wydaniem „Zakonnika“, interesujące są zarysy stanu ekonomicznego i religijnego Serbji Duszanowej. Autor szczegółowo charakteryzuje stan rolnictwa serbskiego, handlu wywozowego i wwozowego oraz początkowe stadja organizacyjne przemysłu serbskiego, który za Duszana (czy za jego zasługą?) wychodzi z powijaków „zadrugarstwa“, organizując się w europejskie cechy. Czytelnik radby był znaleźć cośkolwiek w pracy o stanie kultury umysłowej Serbji Duszanowej, o bliższych stosunkach zależności serbskiej pod tym względem od Bizancjum z jednej strony, z drugiej zaś — od Dalmacji i Wenecji. Wszak sąsiedztwo tych krajów, przy ożywionych stosunkach handlowych serbsko-dalmacko-weneckich, musiało wywrzeć wpływ na kulturę Serbów XIV w. Brak ten wynagradza nam wyczerpujący obraz politycznych dziejów Duszana. Z niesłabnącem zainteresowaniem śledzimy za autorem wielką epopeję bohaterską cara, jego wielkie podboje, które miały urzeczywistnić założony sobie przez Duszana, a z wielką konsekwencją realizowany poprzez całe jego panowanie program stworzenia wielkiego państwa grecko-serbskiego na gruzach Bizancjum. Postępy podbojów Duszana, kosztem Bizancjum przeważnie, są istotnie zadziwiające. Macedonja, Tessalja, Epir, Akarnanja, Etolja przesuwają się jak w kalejdoskopie. Olbrzymia siła prężna młodego organizmu serbskiego, kierowana ręką energicznego i istotnie genjalnego wodza, wyładowała się błyskotliwie w kierunku południowo-wschodnim, zyskując dla Serbów olbrzymie obszary nowej Serbji. Tutaj Duszan wykazał, że był zdolnym i energicznym wojownikiem; temu wojownikowi oddaje autor sprawiedliwość. Autor jednakże stwierdza, że Duszan był jednocześnie złym politykiem; nie waha się wskazać, mimo widocznego z całości pracy pietyzmu dla postaci wielkiego zdobywcy, że Duszan nie spełnił wielkiej dziejowej misji Niemanidów. A misja ta była nie na wschodzie państwa serbskiego, lecz na jego zachodzie. Duszan popełnił ciężki błąd, awanturując się w podbojach na obcych etnograficznie Serbom obszarach zachodnich państwa bizantyjskiego, a lekceważąc wielkie obszary serbsko - chorwackie poza zachodniemi granicami Serbji Duszanowej, będące pod panowaniem wenecko-węgierskiem. Chciał stworzyć wielkie państwo, lecz nie brał pod rachubę czynnika najważniejszego, stanowiącego ostoję każdego państwa, czynnika narodowego. Mógł stworzyć wielkie państwo narodowe o przewadze serbskiego pierwiastka etnograficznego, któreby mogło przetrwać czas długi, stworzył natomiast efemerydę, państwo narodowościowe. Przerzucenie punktu ciężkości polityki zdobywczej serbskiej na obcy

*) „Stefan Duszan, car Serbów i Greków“, Kraków 1932, Nakładem autora.

Wschód, zamiast rodzimego Zachodu stanowiło ciężki błąd polityki Duszana, co w połączeniu z brakiem ściślejszego zespolenia różnorodnych części jego państwa o tendencjach odśrodkowych, doprowadziło do rychłego tegoż rozkładu. Przecież sam Duszan jeszcze za życia swego rozdawać musiał poszczególne części swego państwa w niezależny zarząd swoich wojewodów. Taki jest surowy sąd autora nad polityką cara Duszana. Słusznie więc kończy pracę stwierdzeniem, że „historyczna niepospolita osobistość Stefana Duszana, cara-zdobywcy, staje się ukochaniem ludowej poezji, lecz wzniesiony przez niego gmach państwowy był nietrwały". Praca prof. Oknińskiego zdziera z postaci Duszana wiele tradycyjnego uroku, lecz stać się tak musiało w pracy objektywnego historyka. I to również jest jej zasługą.

Dalsze wnioski należą już do czytelnika. Po przestudjowaniu pracy cisną się one nieodparcie pod pióro. Historyczna postać cara Duszana jest jeszcze jednym dowodem wielkiej prawdy dziejowej, że wielkiego męża dziejowego tworzą nie efektowne, nawet zewnętrznie imponujące odruchy albo czyny, które mogą działać na romantyczną wyobraźnię poety ludowego czy też nieludowego, lecz rozumna, pozytywna, bezinteresowna, bo z interesami tylko narodu zgodna polityka. Postać Duszana i całokształt jego polityki dziwnie przypominają niektóre rysy i momenty z dziejów Polski. Nie zapominajmy, że współczesny Duszanowi Kazimierz Wielki przypomina rządcę serbskiego nietylko swym Statutem Wiślickim, lecz, co ważniejsze, podobnym programem polityki zagranicznej. Pominąwszy różnicę, jaka zachodzi między „pacyfistą" Kazimierzem a militarystą Duszanem, trudno nie wspomnieć o podobnym, pod wieloma względami jednakowym wschodnim programie ekspansywnym obu królów. Ta we wschodnim kierunku ekspansywność polska, zapoczątkowana przez Kazimierza W., znajdzie swoich naśladowców i w dalszych wiekach historji Polski, gubiąc energję polską na wielkich wschodnich obszarach Rzplitej, a zatracając dla narodu polskiego cenne, stare ziemie polskie: Śląsk i Pomorze. Jak Duszan, idąc na wschód, szedł po linji najmniejszego oporu, cofając się przed naciskiem wenecko-węgierskim, tak i my niejednokrotnie wybieraliśmy wschodnią linję najmniejszego oporu w obawie przed naporem niemieckim. Nagrodą za to stała się dla państwa Duszana rychła klęska na Kosowem Polu, a dla Serbów romanizacja wenecka i madjaryzacja węgierska. Polacy zebrali plon dziejowy w postaci rozrostu Prus i rozbiorów Rzplitej.

Zawsze na złe wychodziła Słowianom ich słowiańska miękkość.

JULJUSZ NOWAK

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się niewielka, ale bardzo interesująca broszurka p. t. „Polityka oszczędności w samorządzie" (Warszawa 1932 r. str. 23) napisana przez Stanisława Miklaszewskiego, wybitnego znawcę naszych stosunków samorządowych Mimo szczupłych rozmiarów jest ona niezbędnym dokumentem w ręku tego, kto w dobie dzisiejszej przystępuje do zagadnień samorządowych. Autor daje w niej szereg cennych danych, dotyczących wzrostu wydatków związków publiczno-prawnych u nas i zagranicą oraz wskazuje na niedostateczność dotychchczasowych wysiłków oszczędnościowych. Drugą część broszury zajmują wytyczne bardzo przekonywającego programu oszczędności, jaki, zdaniem autora, należy w naszych samorządach zrealizować. (J. P.)

*

Czerwcowy zeszyt „Ruchu Literackiego" jest jednym jeszcze dowodem żywotności pisma, które znaleźć się winno w rękach każdego polonisty. Ogólny kryzys wydawniczy oszczędził dotychczas ów miesięcznik, naprawdę niezastąpiony, legitymujący się znakomicie zarówno poziomem ogólnym, jak siódmym rokiem istnienia. „Ruch literacki" ze względów oszczędnościowych pozbawiony jedynie okładki, nie uszczuplił nie ze swych łamów: jest równie bogaty, potrzebny i zajmujący.

Zagaja zeszyt szkic prof. Juljana Krzyżanowskiego, analizujący na tekście „Wieczornic" Siemieńskiego niektóre motywy wędrowne gawędziarskiej jego twórczości. W świetle interesujących filjacyj, wskazanych umiejętną dłonią autora, problem ludowości i historyczności romantycznej w Polsce rysuje się dość nieoczekiwanie. Wątki pozornie szczerze polskie i rodzime wywieść należy genetycznie z lektury obcej i studjów bibljotecznych pisarzy. „Siła atrakcyjna różnych motywów wędrownych, dobrze znanych z dziejów naszej dawnej powieści i literatury facecjonistycznej, nie przestała oddziaływać również w w. XIX". Ważne stwierdzenia prof. Krzyżanowskiego mogą dostarczyć niejednej podniety naukowej.

Ludwik Kamykowski z Lublina w obszernym artykule gromadzi z kolei przyczynki do dziejów znanego dobrze na gruncie polskim motywu Wergiljusza z ks. IV Enejdy: „Ty śpisz, Eneaszu".

W dziale materjałów zaciekawia szczególnie nieznana relacja o śmierci Adama Mickiewicza, wydobyta ze zbiorów bibljoteki Rapperswilskiej przez p. Janinę Rajecką. Najzupełniej wiarogodne świadectwo pułkownika Emila Bednarczyka przynosi szereg nowych całkowicie szczegółów z ostatnich dni konstantynopolskich twórcy Legjonu i niewątpliwie zwróci na siebie uwagę naszych uczonych.

Zeszytu dopełniają zwykłe działy. Wśród recenzyj pomieszczono m. in. ocenę K. Górskiego „Literatury" M. Kridla i A. Szczerbowskiego rozbiór książki Rossowskiego o „Panu Tadeuszu".

Henryk Batowski drukuje ciąg dalszy wskazówek bibljograficznych do studjum literatur słowiańskich, sygnalizując tym razem piśmiennictwo czeskie. Tu także znajdziemy ciąg dalszy bibljografji literatury polskiej za r. 1931 P. Grzegorczyka, — wartości uznanej. (T. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Poważne miejsce w nikłej i mało owocnej pracy Ligi Narodów zajmował współudział przy udzielaniu pożyczek krajom, które się do niej zwróciły o pomoc finansową. Takie pożyczki były udzielone Austrji, Węgrom i Estonji na cele budżetowe i walutowe, Grecji i Bułgarji na pomoc dla wygnańców, wreszcie Gdańskowi na cele inwestycyjne. Zagadnieniem tem zajmuje się prof. J. Saint Germès w swej nowej książce *„La Societé des Nations et les emprunts internationaux"* (Nancy — Paris — Strasbourg 1931 p. 168). Książka, poza omówieniem sprawy samych pożyczek, zawiera szereg ciekawych danych, dotyczących krajów, którym pożyczek udzielono. Przy omawianiu pożyczki, udzielonej Gdańskowi, autor wspomina o Polsce. „Jeśli jest naród, który może się uskarżać na swych sąsiadów" — pisze Saint Germès — „to tym narodem jest Polska". „Polska nie może mieć innego dostępu do morza, jak do Bałtyku; tylko tamtędy może się ona komunikować, czy podczas pokoju, czy podczas wojny z zagranicą". „Wychodząc z założeń zarówno historycznych, jak i etnograficznych przyznano Polsce „korytarz", pas ziemi, zwężający się ze zbliżaniem do Bałtyku, do którego dochodzi na zachód od Wisły". „Historycznie korytarz jest związany z Polską; przecież dopiero w r. 1308 zakon krzyżacki zawładnął Pomorzem polskim i Gdańskiem, którego ludność polska została wymordowana. Pomorze i Gdańsk wracają do Polski *de facto* w 1454 r., *de jure* w 1466 r.". „Korytarz" mimo systematycznej kolonizacji dokonanej pod koniec XIX wieku, etnograficznie związany jest z Polską". Jak widzimy książka zawiera szereg bezstronnych faktów, mogących informować o rzeczywistem położeniu na naszem Pomorzu. (J. P.)

*

Pani Marcelle Vioux w swej powieści *„La Dévoillée" (Lemerre édit)*. opisuje nam dramat małżeński, mający za podłoże mieszaninę ras. Młoda francuzka zakochuje się w pięknym Arabie. Ani jej matka, ani jej bracia nie uczynią nic by zapobiedz temu romansowi. Hassan poślubia Françoise; Hassan ją kocha ponad wszystko, zdawałoby się, ale tylko do pewnego czasu. Młoda para udaje się do południowego Algieru. Tam to odrazu Françoise spotyka się z ukrytą zrazu, a niebawem i jawną nienawiścią matki Hassana: Françoise nie ma potomstwa. Wówczas Hassan powoli od niej się usuwa, ma inne kobiety. Françoise, która go kocha, nie znieśie tego upokorzenia i zabija go. Po zapadnięciu wreszcie wyroku spotkamy tę nieszczęsną francuzkę, pozostawioną samej sobie najpierw w starych, brudnych uliczkach Algieru, a potem na pustyni, gdzie umrze, mając za jedynego towarzysza starego wielbłąda. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„GRAFIKA" zeszyt trzeci, rocznik drugi, 1932. Treść: F. S. „Artur Szyk — iluminiator", Feliks Kopera „O malarstwie minjaturowem i iluminatorach w Polsce", J. B. „Oddział grafiki przy Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej w Warszawie", J. P. „O sposobach malowania minjatur w średniowieczu". Plakaty i okładki. Kronika. Ilustracje.

Jak widać ze spisu treści zeszyt ten jest poświęcony minjaturze. Pierwszy artykuł (redaktora „Grafiki") omawia prace znanego artysty—iluminatora żydowskiego Artura Szyka. Artykuł nosi charakter opisowy: nie usiłuje skreślić sylwetki malarza, poprzestając na zaznajomieniu nas z jego dziełami. Wstęp jest króciutkim rzutem oka na dzieje iluminacji w Polsce. A. Szyk, jak wiadomo, zupełnie świadomie stara się swym pracom nadać piętno starych minjatur i utrzymuje je rozmyślnie w ich stylu. Pod tym względem jest wyjątkiem wśród artystów żydowskich, najchętniej ulegających wpływom sztuki często skrajnie współczesnej.

O iluminatorach i typie książki rękopiśmiennej, zdobionej minjaturami, pisze dr. Kopera. Fachowcy i uczeni znajdą tu dawno już im znane fakty z historji minjatury w Polsce, ale nie dla nich został artykuł przeznaczony, tylko dla szerszej kulturalnej publiczności i trzeba przyznać, że zręcznie i jasno podmalowuje tło epoki i atmosferę, w której kwitła minjatura. Najstarszą minjaturą z dziejami Polski związaną jest podobizna naszego króla, Mieszka II-iego, w księdze, ofiarowanej mu przez księżniczkę niemiecką Matyldę. Portret ten zachował się niestety tylko w kopji. P. J. B. informuje nas o kursie grafiki przy Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej. Kurs jest przeznaczony dla młodzieży obojga płci, którą kształci w grafice użytkowej. Powołaniem jej będzie stać się siłą pomocniczą w zakładach reklamowych i pracowniach projektodawczych przy zakładach graficznych. Program nauki obejmuje reklamę wszelkiego rodzaju, techniki graficzne, liternictwo, książkę. Kurs prowadzi dwuch profesorów: Mieczysław Dunin-Bartodziejski i Wiktor Podoski. Artykuł ozdabiają reprodukcje prac uczniowskich (w tem dwie wkładki wielobarwne), świadczące nader dodatnio o wyrobieniu artystycznem młodzieży. Tutaj nie możemy się powstrzymać od pewnej uwagi. Oto redakcja „Grafiki", dobierając materjał ilustracyjny z dostarczonych jej do reprodukowania prac, nie uważała wcale za stosowne porozumieć się w tej sprawie z prowadzącymi kurs. W rezultacie zamieszczone ilustracje niedokładnie obrazują dążenia szkoły. Pominięto np. zupełnie liternictwo, na które szkoła kładzie b. duży nacisk.

Wreszcie ostatni artykuł znowu prowadzi nas w dziedzinę minjatury. P. J. P. zaznajamia nas z techniką stosowaną przez iluminatorów ksiąg. W czasach, gdy znajomość i poszanowanie rzemiosła były tak wielkie, wszelkie przepisy techniczne miały powagę dogmatu. Gromadzili też je skrzętnie nietylko specjaliści iluminatorzy, ale też i ówcześni uczeni, piszący *„de artibus"*. Najstarszy zbiór przepisów pochodzi z IX-go wieku. Jednem z najpoważniejszych dzieł jest podręcznik, zwany „Kodeksem neapolitańskim", z XIV wieku. Wydał go w roku 1877-tym Demetrio Salazaro. Książeczka ta istnieje w wydaniu francuskiem (Paryż 1927 r.) przetłumaczona przez Louis Dimier. P. Dimier opatrzył ją również notami, zaczerpniętemi z dzieł: Heracliusa, Teofila, Pierre Lebrun i t. d., oraz komentarzem. Redakcja „Grafiki" spełniłaby zadanie nader pożyteczne, tłumacząc — poza opublikowanym już artykułem — najważniejsze ustępy z tego dziełka. Potrzeba zgromadzenia podobnych przepisów po polsku daje się dziś żywo odczuwać.[1]) Na zakończenie jeszcze jedno. Obserwujemy z całą życzliwością — bo i jakże może być inaczej — rozwój pisma. Rozumiemy, że nie będąc przedsiębiorstwem dochodowem, musi się zapewne borykać z wielu trudnościami. To też nie chcemy mu wypominać usterek, z tego powodu powstałych. Natomiast dziwi nas, dlaczego redakcja „Grafiki" z taką regularnością unika pewnych tematów. Oto np. w tym roku na wiosnę, jak i za lat poprzednich, najpoważniejsze w Polsce stowarzyszenie artystów-grafików „Ryt" urządziło swoją doroczną wystawę. Próżnobyś jednak szukał sprawozdania z niej w zeszytach „Grafiki." A zdawałoby się, iż do niej właśnie powinni się zwracać zainteresowani po szereg najbardziej miarodajnych informacyj i sąd sprawiedliwy i rzeczowy. Jest tu tylko wzmianka o rozdaniu nagród, zawierająca dwie omyłki, które przy sposobności prostujemy. Mianowicie: czwartej nagrody nie było wcale, dwie trzecie otrzymali: p.p. Bogna Krasnodębska-Gardowska i Konrad Srzednicki (niewymieniony), drugą, a nie trzecią — obok prof. Bartłomiejczyka — Wiktor Podoski.

*

Otwarta na lato w Instytucie wystawa Leona Wyczółkowskiego uległa zmianie w sierpniu. Dopiero po obejrzeniu tej drugiej widz może potrosze zorjentować się w ogromie i różnorodności pracy Mistrza, gdyż Instytut nie miał miejsca na jednoczesne ukazanie całego zebranego materjału. Zwłaszcza dział retrospektywny, do 1900 roku mniejwięcej, wypadł zupełnie zadowalająco. Zgromadzony materjał wystarcza całkowicie do zdania sobie sprawy, jakiem było *credo* artystyczne znakomitego malarza w owej epoce.

Gorzej się sprawa przedstawia z katalogiem. Wygląda bardzo mizernie. Powód? Oczywiście jest jeden b. ważny. Brak pieniędzy. Ale należało raczej poskąpić innym, poprzednim katalogom, a nie temu. Ani jednej ilustracji! Ani śladu życiorysu, najkrótszych bodaj informacyj, naświtlających twórczość wielkiego artysty.

Jubileusz Wyczółkowskiego jest świętem sztuki polskiej. Nie uczciło się tego święta żadnym trwalszym niż wystawa uczynkiem. Nie dało się szerszej publiczności żadnego przewodnika, ułatwiającego zwiedzenie wystawy, bo trudno przecież wymagać od ludzi, aby kupowali w tym celu, znacznie przewyższające katalog w cenie, specjalne monografje. Króciutki wstęp do katalogu, mile zresztą poetyzujący, napisał dr. Sterling. Bardzo to ładnie, że dr. Sterling składa hołd Wyczółkowskiemu. Gdy do jakiegoś miasta przyjeżdża dostojnik, wychodzi naprzeciwko z chlebem i solą delegacja. Między innymi często i rabin też. Bardzo to ładnie ze strony rabina. Ale gdy tylko sam rabin wyjdzie, to już jest daleko mniej ładnie.

WIKTOR PODOSKI

---

[1]) *„Trattato della pittura"* Cennini'ego, w polskiem wydaniu ma się ukazać nakładem oficyny Tyszkiewicza.

OFENSYWA

UNJA KSIĘCIA ROHANA

BYŁOBY, zdaje się, rzeczą wskazaną, aby uczeni, pisarze, publicyści i wogóle *„clerki“* z obozu narodowego i katolickiego czyli „stojący na platformie ideologji“ narodowej i europejskiej, indoeuropejskiej, śródziemnomorskiej *(Morgenlard)* zainteresowali się trochę „Unją Intelektualną“, jej założycielem, księciem Antonim Rohanem i jego pismem *(„Europaische Gespräche“)*. Tą drogą możnaby znaleźć pewien kontakt duchowy z aryjską Europą i ze szlachetniejszym gatunkiem umysłowości niemieckiej bez pośrednictwa znanych maklerów, agentów i komiwojażerów od „towarów“ duchowych.

„Unia Intelektualna“ jest w Polsce niestety mało znana. Zaprojektował ją godny potomek starego emigranckiego rodu francuskiego, zdawna w Austrji osiadłego i zasymilowanego, poważny badacz i znawca europejskich prądów myślowych, który postawił sobie za zadanie ratowanie z chaosu dzisiejszych dysonansów i sprzeczności cywilizacyjnych wszystkiego tego, co jest trwałe, wieczyste i nieśmiertelne i takiem musi zostać, choćby się dokoła wszystko co materjalne zapadało i waliło. Do akcji tej wezwani są wszyscy, którym ideały wyższego rzędu leżą na sercu, którzy cierpią i męczą się, obserwując i odczuwając dzisiejszą anarchję, bezład, wojnę wszystkich przeciw wszystkim, a w rezultacie supremację i terror elementów obcych, wschodnich, destruktywnych i satanicznych. W akcji ratowania tradycjonalizmu kulturalnego wziąć muszą udział reprezentanci duchowych wartości z tych kilku czy kilkunastu narodów europejskich, które jako do aryjskiej cywilizacji należące od wieków, gotowe są bronić jej przeciw wszystkim wrogom tak zewnętrznym jak i wewnętrznym tj. przeciw materjalistycznemu chamstwu i żydostwu we wszystkich ich objawach i manifestacjach. Jak widzimy z tego, Unja Intelektualna nie tylko nic a nic nie ma wspólnego z organizacjami międzynarodowemi, dążącemi do jakiejś wspólnoty i zniwelowania wszecheuropejskiego, wszechobywatelskiego, wszechludzkiego w sensie zaparcia się odrębności narodowych, ale wprost przeciwnie jest antytezą wszelkiego tandetnego, modnego paneuropeizmu. Program i poglądy księcia Rohana i jego grupy można i należy właśnie przeciwstawiać tym wszystkim kosmopolitycznym propagandom, które znalazły swój wyraz w patronowanych przez anglikański Londyn kongresach *Pen-Club*'owych, w masowych zlotach i bankietowych rozczuleniach podrzędnej beletrystyki i reportażu oraz w paneuropejskim *bluff*'ie wiedeńskiego dandysa politycznego i faworyta brukowej wielkomiejskiej prasy, hr. Calergis-Coudenhove. Swoją „Unją Intelektualną“ książe Rohan stara się niejako rehabitować stary cesarski, intelektualnie ongiś wysoko stojący Wiedeń Haydnów, Beethovenów, Mozartów, Lenauów, Auerspergów, Hebblów, miasto barokowych kościołów i wielkopańskich pałaców, z którego inni dwaj arystokraci, ojciec i syn Coudenhovowie starali się w opinji świata zrobić jakiś *„Kern werk“*, jakąś bramę wypadową na Europę aroganckiego i cynicznego, ale przeintelektualizowanego i wyjątkowo chytrego żydostwa.

Coudenhove *junior* miał swoje lata, kiedy zaczął uchodzić za „indywidualność“ omal semi-serjo. Pod pantoflem rozdeptanym swojej semitki żony (Idy Roland-Rosenzweig), otoczony szajką szrajbjingełesów, „Freudystów“ *(Freudemädchen)* i reporterów z Welth Cattow, sam mieszaniec wprost mulacki (jak z Havai) zatracił całkowicie ambicję i poczytalność i niemiecką i aryjską i europejską. Z czasem stał się całkowitym eunuchem politycznym, dwużydzianem Austrjaka, odmianą Chaplina. Poważnie brali takiego Paneuropejczyka tylko kelnerzy, reporterzy i *„gaspan“* (gaspadin) Lednicki z Warszawy. Wizytą w Genewie i naprzykrzaniem się, nałażeniem pod nogi dyplomatom i Briandowi ośmieszył siebie, swoją opasłą magnifikę i swoją Paneuropę doszczętnie. W szale służalstwa Shylockracji doszedł aż do takiego zdania w jednem ze swych wypracowań:

„Jewish-Agency jest pierwszą próbą oficjalnego przedstawicielstwa żydostwa światowego; organizacja ta może pewnego dnia osiągnąć takie samo polityczne znaczenie jak Watykan“ (dosłownie).

Na takie dno upadku moralnego i myślowego mógł się stoczyć bądź co bądź *clerk*, bądź co bądź intelektualista, bądź co bądź prawnuk Polki, a wnuk pani Muchanowowej! ale właśnie w składzie chemicznym swej krwi niebieskiej nie mający żadnej ostoi, mieszaniec okazowy i popisowy *(Muster-gemisch)*.

Antoni Rohan to antypoda tamtego psychopatologicznego fenomenu upadku i poniżenia rasy i warstwy. W Rohanie może przewcielił się, reinkarnował pan de Gobineau, a w każdym razie świat myśli Gobineau odżył bez swych negatywnych, doktrynerskich obciążeń. I pięknie pojmuje posłannictwo owej dziś zdegradowanej klasy wiedeński książę: być organizatorem i kolatorem wyższego życia duchowego, budować kaplice myślowego Piękna, jednoczyć Zakon Ojców Spirytualistów, zwoływać sobory i koncylja tych, co w epoce bałwochwalstwa pantechnologji, w epoce maszynokracji, bronią jeszcze praw Człowieka do własnej indywidualności, do tęsknot metafizycznych, do myślenia bezinteresownego, do transcedentalizmu, do religji, do wiary, do wierzenia w iskrę Bożą w Człowieku.

„Unja Intelektualna“ Rohana pracuje i działa w spokoju normalnym, bez protekcji i wrzasku jerychońskiego, *„Jewish Agency“*, *Penclub*'ów, paneuropników. Żadnego ekskluzywizmu nie uprawia, n a w e t rasowego. W kręgu jej organizacji przychodzą do głosu nawet tak odlegli od siebie pisarze jak... Panait Istrati... i... A. Maurois... i Wassermann... Tylko nie dopuszczeni są do przewodzenia, do narzucania swych celów, swych doktryn i swego... *superiority-complex*, który u żydów napiętnował nawet ich G. B. Shaw. Samoobrona duchowości, ale nie pansemicko - paneuropejskiej. O ile się podporządkowują ideologji indogermańskiej czy indoeuropejskiej, mogą głos zabierać, ale nie jako *primi inter pares*, ani nawet jako równi z równymi.

Z naszych tuzów intelektualnych wygłaszali referaty na spokojnych, dystyngowanych, odgraniczonych od gawiedzi i ulicy zjazdach Unji, w Heidelbergu prof. Halecki, w Krakowie Karol Hubert Rostworowski. Politycznie Unja księcia Rohana nie angażuje się w żadnym kierunku, podczas gdy wiedeńska międzynarodówka Rolandy-Coudenhove już się zdemaskowała, doradzając panu Lednickiemu oddanie Pomorza Prusakom.

Co wszystko i wiele innych racyj nastręczających się okazyjnie zważywszy, pożądane by było, zdaniem mojem, aby grupa pisarzy „stojących na platformie ideologji“ katolicko-polskiej, rzymskiej, aryjskiej, indo-europejskiej w bliskiej przyszłości w pewien kontakt weszła z Unją Intelektualną, jej pismem i jej założycielem.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Oficjalna „Gazeta Polska“ zapewnia naród, iż może on z otuchą spoglądać w przyszłość, jednakże nie dlatego bynajmniej „żeby rząd składał się z jakichś półbogów“. Z bystrością, która przynosi zaszczyt niepospolitym jego zdolnościom obserwacyjnym, publicysta „Gazety Polskiej“ odkrył i zwierza w zaufaniu społeczeństwu przez nikogo niepodejrzewaną tajemnicę, że rząd „z jakichś półbogów“ się nie składa. „Naprawdę, nie składa się?“ — zapyta obywatel, przeczytawszy tą fantastyczną rewelację i przecierać będzie oczy ze zdumieniem — „słowo daję, nigdybym nie uwierzył, tak to brzmi nieprawdopodobnie, ale skoro stoi tak w urzędowym organie“...

*

Rzeczpospolita może być spokojna — zapewnia natomiast „Gazeta Polska“, ponieważ przestały jej grozić „najbardziej nieobliczalne niespodzianki — niespodzianki sejmowładztwa“. W jaki sposób to „sejmowładztwo“ zostało zgnębione? „Dlatego, że istnieje z d e c y d o w a n a w i ę k s z o ś ć w sejmie“.

Coś tu jest trochę niejasnego w tem rozumowaniu. Wszakże fakt, że decydującą dla stosunków w kraju okazuje się... stała większość w izbach prawodawczych bynajmniej o zniesieniu „sejmowładztwa“ nie zaświadcza. Czyż zniesione zostało „władztwo parlamentu“ w Anglji, gdzie w przeciągu tak długich lat każde wybory dawały „zdecydowaną większość“ jednemu z dwóch współzawodniczących stronnictw parlamentarnych?

A może by tak — dla zabawy poprostu, w nudnym okresie wakacyjnym — „Gazeta Polska“ poinformowała potrosze społeczeństwo, jak daleko posunęły się prace obozu rządzącego w dziedzinie... studjów przygotowawczych nad zagadnieniem reformy Konstytucji? Wszak nic innego, tylko nie cierpiąca już ani chwili zwłoki potrzeba naprawy Konstytucji, usprawiedliwiała podobno uciekniecie się do środków tak drastycznych, jak zamach stanu w maju roku 1926?

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.